Ignacy Dąbrowski

ZMIERZCHY



Nakład
J. Fiszera
1914.

ZMIERZCHY

IGNACY DĄBROWSKI

ZMIERZCHY

POWIEŚĆ

WARSZAWA 1914
NAKŁADEM JANA FISZERA,
NOWY-ŚWIAT 9

DRUK L. BILIŃSKIEGO i W. MASLANKIEWICZA. WARSZAWA. NOWOGRODZKA 17.



Rozstawali się.

Rozstawali się bez gniewu, bez wzajemnej urazy do siebie, nawet bez wielkiego bólu. Trudno, wszystko kończyć się musi, a ich stosunek, już z góry skazany na przelotność, trwał tyle, ile trwać mógł. Że jednak w takiej chwili nic niema ani wesołego, ani dającego jakąś nadzieję na przyszłość, oboje byli poważni, milczący i smutni.

Krzyniecki chmurny i zamyślony siedział na małej kozetce, paląc jednego papierosa za drugim, raz po raz nerwowym ruchem swojej wązkiej, szczupłej ręki wciskał dopalony mundsztuk w stojącą przed nim na nizkim stoliku popielniczkę. Jego

przystojna twarz śniadego bruneta o wązkim wydatnym nosie, o bardzo starannie przystrzyganym i utrzymanym zaroście i dużych, pełnych zadumy oczach — teraz, w oświetleniu lampy, przyćmionej abażurem, wyrażała głębokie zamyślenie i melancholię rzeczy bezpowrotnie zapadających w przeszłość.

Wzrok jego poprzez otwarty balkon błąkał się i gubił w bezkresnych obszarach morza, lśniących zielonawą pozłotą wschodzącego księżyca.

Wielka, niezmiernie gładka tafla wód migotała blaskami; gdzieś daleko, bardzo daleko, na samym skraju widnokręgu dogasał stopniowo wązki pasek seledynu, ostatni ślad dawno zaszłego słońca. Na niebie wyroiły się gwiazdy, a przeczyste powietrze morskie powiększało ich blask i drganie.

Ale Krzyniecki patrzał się na to wszystko jak przez sen; myśli jego były tak daleko od tego morza!.. Jego suche, ruchliwe rysy i nerwowe drgania powiek odbijały natychmiast każdy nastrój zadu-

my. Chwilami przygryzał bezwiednie mundsztuk papierosa, a wtedy linie rozchylonych warg i podniesionych wąsów nadawały ustom wyraz goryczy, zniechęcenia i bólu.

Ona, Ani Borska, prawie bez szelestu krzątając się po pokoju, układała ostatnie rzeczy w pootwierane kufry. Jej wysoka, estetyczna postać o ślicznej głowie i wyrazistym profilu rysowała się wdzięcznie i miękko w trochę mrocznem oświetleniu lampy. Jej ręce, nieco duże, o silnie wyrobionych muskułach, ręce zawodowej pianistki, zręcznie i wprawnie składały i zwijały rozmaite drobiazgi, umieszczane w kufrach.

Ale i ona widocznie nie wiele przykładała uwagi do swej czynności; raz po raz podnosiła końce swych palców do skroni, jakby chcąc się z czegoś wydobyć i skupić na jednem. Wtedy zlekka wstrząsała swoją śliczną głową, niemal mówiąc ustami: „nie, nie, to później o tem; teraz pakować rzeczy, tylko pakować".

Pochłonięci własnemi myślami, chociaż

oboje myśleli o jednem, o swojej wspólnej, krótkiej, a już ubiegającej przeszłości, nie mówili prawie nic do siebie, a i te rzadkie wyrazy nie tłómaczyły zgoła tego, co czuli teraz i przeżywali.

— Zobacz, Pawle, w Baedekerze—powiedziała Ani Borska, trzymając maleńki w florencki pergamin oprawny notatnik w ręku — czy jest w Lyonie ten hotel „Central du Midi“, jaki mam tu zapisany.

Krzyniecki jakby z trudem oderwał się od swojej zadumy.

— Co, Ani?—zapytał.

Powtórzyła swoje słowa.

Wstał zaraz i wziąwszy książkę z kominka zaczął szukać.

— Jest, Ani—rzekł po chwili.

— To przeczytaj mi jeszcze adres i ceny. Przepraszam cię, Pawle!

— Co ty, Ani!—rzekł z wyrzutem.

Zapisała sobie wskazane objaśnienia i oboje zapadli w poprzednie milczenie. Ona składała teraz tualetowe drobiazgi i biżuterye, on, z dawnego nałogu szarpiąc sobie jeden wąs, zapuścił znowu wzrok w tę

wielką dal morza, jaka się rozwierała tuż za balkonem.

Proste pytanie o hotel w Lyonie, dokąd ona jechała z koncertem, i jeszcze raz, i jeszcze raz nawróciło im myśli na to, co było, i na to, co czeka.

Przez te cztery miesiące, kiedy żyli i podróżowali razem, on był jej przewodnikiem, on załatwiał wszystkie niewygodne strony podróży; teraz zajedzie tam sama, do tego Lyońskiego hotelu, będzie musiała umawiać się z fiakrem, wybierać pokój, zasiąść sama przy table d'hôte pośród obcych zupełnie twarzy...

Zdjął go taki żal!..

Ach, nie chodziło tu przecież o to, czy ona da sobie radę: Ani Borska, która z koncertami objechała już pół świata, zawsze i wszędzie poradzić sobie potrafi; — tylko ta zupełna samotność po tych miesiącach spędzonych razem we Włoszech i tu, w Alassio.

— Ani! Ani! taki żal... — rzekł Krzyniecki, pochylając się nagle i kryjąc twarz w dłonie.

Zatrzymała się na chwilę. W tkliwem spojrzeniu, którem go objęła, zarysowało się pytanie. O cóż chodzi? Przecież niech on tylko słowo powie, a ona rzuci wszystkie koncerty i pojedzie z nim na koniec świata.

Przez krótką chwilę stała jakby w oczekiwaniu... Poczem, przyłożywszy znowu końce palców do skroni, otrząsnęła się zlekka i powróciła do przerwanego zajęcia.

Tak, tak, to był tylko epizod, jedna chwila życia dla obojga i trzeba ją zakończyć. I właśnie teraz, kiedy jeszcze nie zdążyli naprzykrzyć się sobie, kiedy nie dopili do samego dna.

Czyż nie lepiej, że zamiast przesytu i urazy pozostanie im tęsknota i nie zamącone niczem wspomnienie?

Ach, wspomnienie! Tego jednego byli pewni i z całą samowiedzą swoich wyrafinowanych natur starali się je wywoływać już teraz.

Nie żałowali niczego, przed niczem nie potrzebowali cofać myśli, szukającej w pamięci.

Przedewszystkiem potrafili się ustrzedz od wszelkich przyrzeczeń, zaklęć, zobowiązań, nieziszczalnych obietnic. Nie, nie...— przecież oboje nie byli już dziećmi... Wiele żyli i wiele doświadczyli. Więc teraz żaden wyrzut nie dotykał ich sumienia, żaden niesmak nie zamącał skończenie artystycznego obrazu.

Poznali się przed niespełna rokiem w pokoiku artystów w czasie rautu, na którym Ani Borska grała świeżo po całej seryi zagranicznych koncertów, on zaś czytał swoją nowelę.

Nazwiska obojga były za głośne, ażeby mogło ich spotkać zupełne niepowodzenie: jemu klaskano i dziękowano, Ani Borska bisowała. Oboje wszakże zostali przyćmieni i pobici.

Ją usunęła na drugi plan śpiewaczka, eks-szansonistka paryska, głośna z urody, brylantów, skandalów i z tego, że nawet na wielkich estradach zachowywała swoje sposobiki z café-chantant. To „brało“, entuzyazmowało.

Borska czuła, że w czasie jej spokoj-

nej, szlachetnej gry, „bez temperamentu“, jak jej zarzucano, publiczność poprostu nudzi się i zdenerwowana czeka tylko ukazania się śpiewaczki. Krzynieckiego zagasił młody poeta dekadent, głośny z wielkiego talentu, pijaństwa, skandalicznego życia i niedorzecznych utworów; wiersz jednak, który przeczytał na owym raucie, sam Krzyniecki musiał to przyznać, był rzeczywiście piękny, choć dziwaczny. Publiczność, chciwa nowych dreszczów, zgotowała poecie owacyę kwiatową.

A potem jechali razem karetą; on z tym śmiesznym, patetycznym wieńcem laurowym, wyglądającym zawsze jak z blachy, ona z bukietem, jakie otrzymali „urzędowo“ od organizatorów dobroczynnego rautu.

Od tego dnia zaczął bywać u niej i coraz częściej.

Nie, nie mówili o miłości.

Mówili o rzeczach dla siebie o wiele ważniejszych, ważniejszych od miłości: o sztuce, o tworzeniu, czasem o sławie, czasem o wspólnej niedoli.

Tyle ich łączyło, tak dobrze się rozumieli.

Oboje kiedyś, on przed piętnastu, ona przed dziesięciu laty zabłysnęli odrazu, jako pierwszorzędne gwiazdy na firmamencie sztuki. Ani Borska nazwisko swoje, z początku panieńskie, potem z męża, rozniosła na afiszach po obu półkulach świata. Zdobyła sławę, majątek, nawet... męża, drugorzędnego skrzypka, pięknego jak marzenie, zepsutego międzynarodową karyerą jak szatan, pożeracza serc niewieścich wszystkich krajów, z którym żyła i koncertowała przez cały rok, póki jej nie rzucił, żeby przepaść bez wieści, zostawiając ją w pozycyi rozwódki bez rozwodu.

Krzyniecki, jako dwudziestoletni chłopiec, wystąpił odrazu z dziełem niespożytej wartości, zadziwiającem, ze względu na wiek autora, głębokością analizy, niebywałą równowagą ducha i wielką plastyką obrobienia. Posypały się entuzyastyczne krytyki. W miesiąc stał się znanym, nawet popularnym. Wysunięto go na czoło sił najmłodszych i on sam przyzwyczaił

się wreszcie tak się patrzeć na siebie. Błyszczał przez lat kilka. Nowe dzieła, które dawał, w jego mniemaniu i w mniemaniu światlejszej krytyki, nie ustępowały w niczem pierwszemu. Jego jasny, pogodny talent, lubujący się w słońcu, prostocie i wielkiej równowadze myśli przy wyrafinowanie wykwintnej formie wszedł na równe, wytknięte jak szyny kolejowe tory. Organizacya artystyczna skupiała się, krystalizowała; przedstawiał wybitnie jasno określony kierunek, od którego ani by już mógł odstąpić, ani chciał. Był realistą do szpiku kości, z urodzenia, z praw swojej wrażliwości artystycznej, z entuzyazmu przekonanego prozelity. Żadne już jednak z dzieł nie wywołało takiego powszechnego uznania, jak pierwsze. Było odrazu za wielkie, inne tylko mu dorównywały, a spodziewano się więcej, więcej. Prysł przytem urok niespodzianki i bezwzględnej nowości. Zdarzyło się też, że przez rok nie dał świeżej powieści: tu i owdzie półgębkiem zaczęto mówić: „wyczerpał się, wypisał“.

Rzucił nowe dzieło, rzeczywiście słabsze od poprzednich—posypały się już wyraźne zarzuty, dla Krzynieckiego tem boleśniejsze, że słuszne.

A potem poszły długie lata. Kochał, ale życie zrobiło, że mu się to uczucie zaprawiło piołunem. Potem nadeszły inne cierpienia i zawody. Krzyniecki prawie przestał pisać. Na nagabywania wydawców, zawsze jeszcze po kupiecku wysoko ceniących jego nazwisko, odpowiadał nowelami, małymi drobiazgami, zawsze świetnymi w formie, w których odczuwano jego lwi pazur. Ale już ani krytyka ani zwłaszcza on sam nie przykładali do tych rzeczy zbyt wielkiej wagi. To było tylko tak sobie, tymczasem, a pozatem — czekano. Czekał nawet sam Krzyniecki. W głowie rodziły mu się coraz nowe pomysły, które uznawał za świetne: jeżeli chodziło o co, to tylko o wykonanie, o wypisanie. A do tego, niestety, warunki układały się jaknajgorzej. Jako człowiek zupełnie niezamożny, tylko własną pracą mógł zdobywać środki utrzymania dla zaspokojenia potrzeb,

które pomimo kawalerstwa wciąż rosły. A w dodatku adwokat z fachu nie lubił swego zajęcia i traktował je tylko zarobkowo, a to się musiało odbić na powodzeniu i wziętości; trudno kilku bogom służyć. Zresztą Krzyniecki nie wiele o to dbał, ani się tem przejmował. Tylko ten czas, ten czas, który uciekał zawsze nie wiadomo na co, bez korzyści, bez zadowolenia. „Później, później“ — uspokajał się, szczerze wierząc, że ta chwila przecież nadejdzie.

I wtedy nastąpiło zbliżenie ze słynną Ani Borską. Z początku prosta tylko znajomość, prawie przyjaźń. Aktorka, z którą niedawno przedtem zawiązał ściślejszy stosunek, jeszcze była dla niego nowością, jak i on był dla niej. Pociągała go zmysłami, gorączką teatralnej atmosfery, cyganeryą swego życia. Ach, miał już dosyć tych związków na seryo, z zaklęciami, przyrzekaniem, których żadna ze stron nie mogła dotrzymać, pełnych patosu w słowach, a zmysłów i chęci podniecenia w treści. Tu ani śladu tego ciężkiego aparatu.

Lina Dolska liczyła już kochanków na tuziny, bo zresztą liczyła jej ich cała Warszawa. Do Krzynieckiego prócz tych jego cech zewnętrznych, które mu zjednywały stałe powodzenie u kobiet, pociągnęła ją jeszcze jego sława. Miała już w swojej galeryi bankiera, miała doktora, fabrykanta, inżyniera, hrabiego, nawet atletę, nawet aptekarza, dlaczegożby nie miała do niej zaliczyć i człowieka sławnego? Stosunek był lekki, urwisowaty, wesoły i trwał całe trzy miesiące. Lina traktowała go jako powagę, którą starała się „rozruszać“. Kręciła się jak fryga, szczebiotała, paplała niedorzeczności, robiąc dla niego specyalnie swoje przepyszne minki, któremi ze sceny czarowała całą Warszawę. Krzyniecki poddawał się i chwilami szczerze bawił. Tak — ale w końcu już tego było dosyć: minki się wyczerpały, nawet spowszedniały, wprost zbrzydły. Przesyt, nuda, wieczna tęsknota nowych, coraz nowych wrażeń odepchnęły go. Nie, stanowczo była za głupia. To dobre na miesiąc, dwa najwyżej, ale całe trzy poświęcić ta-

kiej niedorzeczności! Posłał jej na scenę bukiet z czemś w środku i z małą kartką: „Dziękuję. Wyjeżdżam. Bądź zdrowa“. Wyjechał rzeczywiście — na tydzień. Lina ze złości kartkę podarła, bukiet poszarpała, coś tylko ze środka ostrożnie wyjąwszy i już na trzeci dzień jadła kolacyę w gabinecie z zakochanym w niej po uszy studentem-hrabiczem.

Jakże wtedy odczuwał wytworny, prawie wyrafinowany smak przyjacielskiego stosunku z tą zawsze piękną, zawsze subtelną, Ani Borską!

Nie, nie mówili o miłości ani z początku, ani później. Dla dusz, raz opętanych zarazą tworzenia, miłość jest tylko życiowym epizodem, który może przynosić nasycenie lub ból, ale nigdy nie zabiera całej duszy. A oni byli opętani oboje i dla obojga wiele rzeczy było ważniejszych od miłości.

Więc schodziły im całe długie wieczory na rozmowach cichych, głębokich, sięgających aż do dna ich serc.

Nie, i Ani Borska nie była szczęśliwą:

pierwszorzędna gwiazda w świecie sztuki, w ostatnich latach nieznacznie schodziła na drugi plan. Czuła to dobrze sama, jak również i to, że talent jej rozwijał się właśnie, klarował, więc nie w jego zaniku leżała przyczyna tych niepowodzeń.

Ach, talent! o wszystkiem mogła zwątpić, tylko nie o tem, że go posiada, że nim owładnęła, jak jeszcze nigdy; jej spokojna, szlachetna gra dosięgała teraz szczytów klasycznej harmonii. Nie potrzebowała nawet pokonywać zapędów efektowności: nie miała ich nigdy w swej wytwornej duszy. Zasiadała do gry, jak do uczty. Niektóre koncerty wypełniała całkowicie utworami Bacha, zawsze z tem dziwnem poczuciem, że wielki duch kompozytora jest obecny w sali i słucha jej. To były prawdziwe obcowania ze zmarłymi mistrzami: rozumiała ich, czuła i czciła w ich dziełach. Gra jej koiła i ukazywała zaświaty.

Tymczasem właśnie w tych ostatnich latach nastąpiła cała rewolucya w świecie pianistów i pianistek. Kilka najsłynniejszych zdobyło sobie rozgłos efektownością

i nerwami: fortepian szalał, mdlał, wył, lśnił się barwami, pokazywał kontury i kształty. Poczęto uganiać się za cudami techniki i błyskami obrazowania. Publiczność, pociągnięta nowością, domagała się już samych cudów i samych dreszczów. Niebiański Bach został zarzucony; wielki filozof Beethowen — potraktowany jako spazm i patos; eolski Chopin —jako histeryczka; fanatastyczny Grieg — jako egzotyczny kaprys. Publiczność za wszelką cenę chciała dreszczów i — miała dreszcze, nawet całe kurcze.

Wtedy coraz częściej zaczęto wytykać Ani Borskiej brak temperamentu.

Ach tak, nie miała go wcale.

Była to zawsze dusza wielkiej damy w ciele skończonej artystki. Prawda — uległa raz nawet temu temperamentowi i popędom krwi, kiedy, oczarowana urodą Aleksego Borskiego, wyszła za niego, ale ta jedyna próba zostawiła jej tylko niesmak i wstręt. Nie, nie, to nie dla niej. Już wolała Bacha.

Koncerty jej bywały jeszcze pełne,

a przynajmniej tłumne, ale ona z zachowania się tych tłumów w sali, z coraz krótszych i oziębłejszych krytyk, czuła już dobrze, że jej gwiazda poczyna przygasać, jak poczyna przygasać dzień o zmierzchu.

I oboje spowiadali się z tego sobie. Ten ich powrót wtedy w wyziębłej karecie, ze sztywnym wieńcem laura i więdnącym bukietem — rzucił ich dusze ku sobie i zespolił więzami wzajemnego rozumienia.

Mówili o tem i on i ona poraz pierwszy w życiu, jakby zdziwieni trochę, że już los każdemu z nich mówić o tem każe. Zresztą nie były to jeszcze skargi, ani nawet zdecydowane zwątpienia... Raczej jakaś obawa, czy tak nie jest... W najgłębszej głębi duszy wierzyli jeszcze każde w siebie, w swój talent, w powrót wspaniałych dni pierwszej młodości. Tylko... trudno—serca twórcze tyle czują i tak silnie zawsze, że każda najmniejsza zmarszczka duszy wywołuje przesadny nastrój. Może nawet czasem sztucznie tworzyli drobiny zniechęcenia, bo coś tworzyć mu-

sieli, choćby antytezy. Stąd rozmowy ich, zawsze ciche, skupione, głębokie, tak subtelne, że nić ich nawet te wyrafinowane natury gubiły czasem, owiewała jakaś melancholijna mgła leciutkiego pesymizmu, który nakładał na wszystko nikłe, przedziwne tony, pełne uroku i tajemniczości.

Raz w pewien wieczór, który się przeciągnął aż do późnej nocy, opowiedział jej szczegółowo temat swojej wielkiej powieści, jeszcze nie napisanej.

Opowiadał z przejęciem, podniecony jej szczerze skupioną uwagą, tym swoim przyciszonym głosem, tak pięknie dźwięcznym zawsze i tak pełnym przeróżnych akcentów. Wpadł nawet w zapał, w coraz już rzadsze twórcze podniecenie.

To było ukochane dziecię jego myśli, wielki rezultat życia, wszystkich doświadczeń, obserwacyi i polotów ducha, cały mały świat, w którym żyli ludzie prawdziwi z krwi i kości, a którym on kazał kochać, cierpieć, walczyć, wierzyć... Sceny szły za scenami, szczegóły za szczegółami, a z nich wiele stworzonych odrazu,

w chwili opowiadania. Aż wreszcie w tym małym saloniku, pełnym palm, zawiędłych koszów kwiatów i abażurów — narodziło się nowe arcydzieło literatury. Narazie — w słowach tylko.

Była porwana, zachwycona? Jakto? więc czemu nie pisze, czemu odwleka chwilę nowego świetnego tryumfu? zresztą chodzi przecież o literaturę, o sztukę, której oboje na usługi poświęcili życie!

Był jej ogromnie wdzięczny. Już od tak dawna nikt nie wlał w niego tyle ufności w siebie, zapału. On to napisze z pewnością, musi. Dlaczego teraz nie pisał? Ach, czyż mógł, doprawdy. Pisze tylko rankami, potrzebuje pogody, słońca—skąd takich dni i godzin weźmie? Jest przecież adwokatem. Te nieliczne dni wolne, którymi rozporządza, ledwie mu starczą na pisanie tych drobiazgów, jakich się od niego domagają natarczywi wydawcy. Tak, ma pewne plany... Chciałby na rok, na kilka miesięcy rzucić adwokaturę, wyjechać za granicę, nad morze, a tam — napisze, wierzy w to najmocniej, że napisze.

Tylko... czy to tak łatwo wykonać to, co się zamierzy?

Od tego dnia mieli jakby swoją tajemnicę, która ich łączyła tem ściślej. Energiczna, umiejąca iść na przebój, Ani Borska, pierwsza przetłumaczyła na język realny nieuchwytne jeszcze plany Krzynieckiego. Uwierzyła w niego całą mocą swego zachwytu i parła go już tylko do jednego. To arcydzieło musi być napisane. Potrzebny był wyjazd? więc niech rzuca wszystko i jedzie. To już tylko słyszał od niej każdego wieczoru.

Wpadła na dobry pomysł; nie namawiała go na sam wyjazd—to już było przecież postanowione: prosiła tylko i nastawała na przyspieszenie tej chwili.

Krzyniecki zwłóczył i wahał się.

Natura jego posiadała jakąś lepkość, do której się przylepiały najdrobniejsze niteczki wszelkich przeciwności życiowych. Refleksya, obawa zawodu przytłumiały w nim rzutkość czynów. Czuł się w gęstej sieci; tyle trzebaby porwać, tyle na-

wiązać na nowo! A poza tem — czyż to jest pewnem, że napisze, że skończy?...

Ale wreszcie wiara Ani Borskiej udzieliła się i jemu. Zaczął gromadzić pieniądze, wymówił mieszkanie i oznaczył termin. Dopiero za dwa miesiące. Nie, wcześniej nie mógł w żadnym razie. Przestraszało go, że tak już wrósł w powszednie życie Warszawy. Więc dobrze, wyjedzie, choćby miał coś porwać lub złamać, bo za rok byłoby już trudniej albo zgoła niemożliwie.

Ona też prawie w tym samym czasie wyjeżdżała z koncertami.

O wyjeździe wspólnym nie było nawet mowy: on potrzebował ciszy bezmiernych przestrzeni morza, ona mogła koncertować tylko w wielkich, hałaśliwych stolicach.

Bo tak, próbowała jeszcze. Blizka była chwila, albo już nadeszła, kiedy nerwowość i efektowność gry miała doprowadzić w swej przesadzie tylko do kuglarstwa, a wielka sztuka spaść do rzędu sztuczek. Publiczność musi przejrzeć, a wtedy jej szlachetna, spokojna gra odzyska swoje prawa.

I Ani Borska apelowała do przyszłości. Może już. Pojedzie i zagra. Czuła się tak pewną, tak niewzruszenie pewną, że omyłka była po stronie publiczności, a ona, Ani Borska, prawie jedyna zachowała, jak nabożna kapłanka, tradycye wielkiej, jaśnie wielmożnej sztuki...

Aż raz — mniejsza z tem, jak i kiedy—Krzyniecki poczuł, że jego przyjacielski stosunek do wielkiej pianistki poczyna się przeradzać w nieprzeparty pociąg do kobiety. Odurzał go zapach jej włosów, wytworność całej postaci drażniła mu zmysły z większą siłą niż najlubieżniejsze obrazy. Ach! pochwycić ją w objęcia, zgnieść, nasycić się wyzyskaniem tego wykwintnego ciała!

Ale nie, nie. On nie zbruka ani jej, ani słodkiej, serdecznej harmonii ich stosunku. Bo cóż go usprawiedliwi? Miłość? To przecież nie była miłość. Kochał kiedyś i wiedział, jak się czuje wtedy i czego pożąda. Zresztą, czy nie odepchnie go ze wstrętem, jak bezwstydnie rozłakomionego samca? ona, wytworną duszą i ciałem Ani, przez pół tylko żyjąca tem życiem, a dru-

gą połową wsłuchana w te czary harmonii dochodzące z zaświata...

Uszanował ją i siebie — i zniknął.

Przez miesiąc nie bywał u niej, w swojem podnieceniu przed zbliżającym się wyjazdem znajdując ujście dla podrażnionych nerwów i niezaspokojonych zmysłów.

Ona, niepewna, gubiąca się w dociekaniach — czekała.

Aż nagle zobaczyła go w sali na swoim pożegnalnym koncercie.

I stała się rzecz niesłychana: Ani Borska po raz pierwszy grała nerwowo, z temperamentem. 1 sonata Beethovena zleciała z jej palców jak huragan. Silnie rozbłysłe jej oczy nie widziały już nic, nawet klawiszów. Sala tupała, huczała grzmiała oklaskami. Ani Borska raz jeszcze święciła swój zupełny tryumf.

A kiedy zaraz po koncercie zjawił się u niej stęskniony, upojony, nie władnący dłużej sobą, zarzuciła mu sama ręce wokoło głowy i powiedziała tylko: „tak się stać musiało“.

. . . .

Dziesięć dni przeżyli jak w bajce.

Telegraficznie odłożyła dwa koncerty, on z paszportem w kieszeni, już bez mieszkania, w hotelu, jakby już za granicą, chodził po Warszawie oczarowany, jak zagorzały. Czynili sobie nieskończone wyrzuty, słodkie niby pieszczota, za ten zmarnowany miesiąc. Na całe życie pozostało im wrażenie ciągłego pośpiechu, gotowania się do podróży, upajających chwil rozkoszy i robionych razem sprawunków. Ona sama wybrała mu czapkę podróżną nie mogąc się dość nazachwycać całą jego postacią; on w trzech sklepach przeglądał z nią różne boa, zanim wybrał takie, które było jej godne. A poza tem — mnóstwo dzieciństw, mnóstwo szaleństw... Mus wyjazdu i rozjechania się ciążył im jak dręcząca zmora, ale jednocześnie nadawał jakiś specyalny, gorączkowy koloryt przeżywanym chwilom. Im krótsze już były, tem wyzyskiwali je mocniej, jakby chcąc się upoić na całe życie.

Ale ostatnia chwila musiała w końcu nadejść.

Ona, związana wcześniej zawartym kontraktem, odłożyła swój termin do ostatniej możliwej godziny; on — ledwie zwolniony jak ptak z krępujących go więzów w Warszawie, zachował jakieś poczucie, że musi jechać i korzystać z tej swobody z takim trudem zdobytej — dla pracy, dla przyszłości, dla sztuki.

Rozjechali się jednego dnia, niemal jednocześnie: on do Włoch, ona do Berlina. Pół godziny, które po jej odjeździe czekał na swój pociąg w natłoczonej poczekalni, wydało mu się nagle takiem udręczeniem, że musiał je zapełnić wysłaniem do niej depeszy i pisaniem pierwszego listu.

. . . .

A potem?

Długa, męcząca podróż odbywana jednym tchem. W Alassio, gdzie osiadł na dłużej, przez kilka dni jeszcze zachował coś z zamętu ostatnich tygodni. Teraz, w ciszy błękitu morza i nieba wydały mu się one fantastycznym snem. Nie mógł nawet spokojnie myśleć o nich: to chyba nie on tam, w Warszawie, przeżył te dzie-

sięć dni. To było coś zewnętrznego, coś, co jeszcze nie zdążyło wżyć mu się w duszę i pamięć. Wyrażenie z jej listu: „Mój Pawle“, wydało mu się niezwykłe. Jakto? Ani Borska nazywa go po imieniu? Wysilał się, żeby w kilku listach początkowych nie użyć wyrazu: pani.

Za to pracował całymi dniami, całymi wieczorami.

Ogarnął go zapał. Oddawna już nie czuł się tak doskonale usposobionym, niemal natchnionym. Rosnące wciąż dzieło podniecało go jak mocne wino. Napisze! Skończy!

Nie wiele nawet korzystał z morza i przechadzek wzdłuż jego brzegów. Cóż go teraz mogło obchodzić morze? Było piękne jak zawsze i kochał je po dawnemu, ale na zachwyty nie było czasu. Nosił w sobie ciągle własny, odrębny świat swojej powieści i żył w nim tak niemal realnie jak w rzeczywistym.

Ale już po miesiącu nastąpiło pewne wyczerpanie.

Przyszły bóle głowy, a nocami śniło

mu się ciągle, że pisze: to było najgorsze. Wstawał ociężały, z umysłem nieodświeżonym. Trzeba było stanowczo wyrzec się pisania wieczorem.

Wtedy rozpoczął przechadzki nad morzem i łodzią. Powoli, powoli wracała świadomość życia realnego, a z nią wspomnienia. Był ciągle sam:—i wreszcie ta samotność poczęła mu ciążyć.

Wydawało mu się tak nieznośnem, że oto już miesiąc, półtora, dwa—nie wymówił ani usłyszał słowa polskiego. Listy Ani długie, częste, pisane tak wykwintnie na pysznym angielskim papierze, sprawiały mu coraz żywszą przyjemność. Czekał teraz na nie. Nie dziwiły go już pieszczotliwe wyrażenia: szukał ich, i raziło go chłodem, jeśli ich było mało.

Wreszcie pewnego wieczoru po opisie nocy, spędzonej na morzu w łodzi, nocy tak cudnej, że wydała mu się czarodziejską legendą — dopisał do listu jeden tylko wyraz: „Przyjedź“!

. . . .

I przyjechała.

Zerwała umowę, zapłaciła umówioną karę, co zresztą nigdy jej zbytnio nie kłopotało, i w pewien jasny, słoneczny grudniowy poranek wysiadła na dworcu w Genui, zasypana kwiatami i pocałunkami Krzynieckiego.

Zrobiła to tem chętniej, że koncerty przestały ją nagle interesować.

Nie, zanadto się pośpieszyła, chcąc już teraz apelować do przyszłości. Ostatnia moda była jeszcze ostatnią, a Ani Borska stanowczo wychodziła z mody. Przypadek przytem zdarzył, że ze swemi koncertami jechała prawie ciągle śladem rozgłośnego pianisty amerykańskiego, który był nie tylko amerykańskim pianistą, ale nawet grał po amerykańsku. Publiczność, przyzwyczajona do efektów dynamiki i ekstrawagancyi ekscentrycznego bostończyka, nie mogła nie pozostawać obojętną na bosko spokojną, pełną przedziwnych subtelności grę Ani Borskiej.

Bo nie zmieniła się w niczem. Ten koncert pożegnalny warszawski, który tak odświeżył jej laury, pozostał wyjątkiem. Nie

żałowała go, ale się go wstydziła. To tylko ona, Ani Borska, w chwilowem podnieceniu nerwów pokazała się tam publiczności: duchy wielkich mistrzów uleciały z sali. To nie była sonata Beethovena, to nawet nie był nerwowy Chopin. To była tylko ona, Ani Borska, roznamiętniona kobieta, która się poważyła nadużyć i skazić te arcydzieła dla swojego wybuchu.

Przeciwnie. Nigdy nie grała z taką równowagą i spokojem, jak właśnie teraz.

Im więcej cierpiała, im więcej tęskniła, im mocniej ją dręczyły obojętne początkowo listy Krzynieckiego, tem większej ucieczki szukała w muzyce i zaprzepaszczaniu w jej dziełach swoich własnych rozterek.

Właściwie dobrze jej już było tylko przy fortepianie. Jeżeli serdeczniejszy lub dłuższy list Krzynieckiego uspokajał jej tęsknotę, wtedy wstyd upadku wstrząsał dreszczem jej czyste ciało. Więc grała. Duchy wielkich mistrzów schodziły ku niej, szeptały swoje nieśmiertelne arcydzieła, a ona, w tem obcowaniu z nimi, zapominała o wszystkiem.

Najpoważniejsi krytycy jeszcze po dawnemu unosili się nad jej grą. Ale ona już nie dbała o krytyki.

Czy mogli jej powiedzieć coś nowego, czegoby w swojej grze nie czuła sama? Zdejmował ją czasem pusty śmiech, kiedy jej podsuwano sposób pojmowania jakiegoś dzieła. Ona nie dobrze pojmowała? Więc któż mógł lepiej? Zresztą, czyż mogłaby zagrać kilka taktów wbrew temu, jak czuła sama, a dogadzając komuś?

I tyle się już naczytała tych krytyk!

Jej chodziło o całą publiczność, tę najszerszą, która wszędzie na całym świecie stanowi całą bez małego ułamka salę, i wdzięczna darzy uznaniem i sławą. Bo od czegóż była artystką, naznaczoną od Boga stygmatem wielkiego talentu? Żeby grać starym krytykom z przebębnionemi uszami? Chciała koić, zachwycać, podnosić całe rzesze, a nie wyczytywać zadrukowaną bibułę.

I stąd pochodziła jej wielka wrażliwość na oklaski i entuzyazm sali. To był najlepszy probierz, czy zdołała w te rzesze

przelać—nie kawałek swojej duszy, jakby powiedziała każda kabotynka,—ale Beethovena, Bacha, jednego z tych mocarzy, których czuła się tylko służebnicą pokorną. Sala milcząca, oziębła przejmowała ją bólem: więc nie potrafi jej porwać i unieść na te olbrzymie wyżyny, na których sama czuła się tak szczęśliwa. Grać przed wystawą brylantów i arystokratycznych łysin—nie, to nie dla niej. Iskra Boża talentu przestała wzniecać pożary: należało przechować ją niewygasłą i nieskalaną do lepszych czasów.

Jednocześnie wspomnienie ostatnich dni Warszawy stawało się coraz promienniejszem i ponętniejszem. Jeżeli nie to, to tamto. Była niepotrzebna, wyparta ze świata sztuki — mogła zatem poświęcić trochę dni wyłącznie dla siebie.

I kiedy w pewien poranek po koncercie w Paryżu, na który liczyła wiele, a który ją w części zawiódł, otrzymała od Krzynieckiego ten wyraz: „przyjedź“ — zdecydowała się natychmiast.

. . . .

Jeżeli tamte dziesięć dni Warszawy wydawały im się bajką, to te kilka miesięcy Alassio były całym poematem.

Nic z gorączkowości i pośpiechu tamtych dni. Otaczające ich bezmierne przestrzenie morza i jego spokój były jedynemi przygrywkami życia. Ciche głębie wód i nieba, to przesycone błękitem, to promieniejące całemi symfoniami barw, spowijały ich dusze słodko, jak nieustająca muzyka. Towarzyszył im stale spokojny zachwyt. Schodziły tygodnie, jak błogi sen. Oboje mieli wrażenie, że nieprzerwanie trwa uroczyste święto. Chwilami byli tak poważni, jak w kościele.

Rankami budziło ich złote słońce, przeciskając się przez szpary zapuszczonych żaluzyi; otwierali żaluzye, a wtedy pokój zalewały potoki blasków i drgających pyłków. Za oknami lśniła całym przepychem modrego lazuru wielka tafla morza, które zdawało się oddychać swoim wiecznym, nieustannym szmerem. Stawali u balustrady balkonu, upojeni sobą i tym potopem światła, przecierając jeszcze oczy, które

się budziły na długi, rozkoszny dzień. Oto witał ich ten świat czarów i nasyceń i mówił im: „czekam na was“.

Odbywali długie, piesze spacery wzdłuż czarownych brzegów wiecznie zielonej Riwiery. To zapadali, jakby w tunele splątanych gęstwin drzew, gdzie nie widziało ich ani oko ludzkie, ani promienie słońca; gdzie nadsłuchiwały ich tylko ptaki, a poggwar starych konarów tłumił ich szept i kroki. To wychodzili nagle na otwarte przestrzenie, tak wielkie, jak cały bezmiar między morzem a niebem. Wtedy czuli tylko żal, że brak im skrzydeł, żeby lecieć dalej, jeszcze dalej... Morze słało im swój słonawy oddech, z pod stóp dochodził łagodny szmer fali, a powiew od gór, od Liguryjskich wiosek donosił to zapach jakichś nieznanych krzewów, to odległe echo nawoływań wieśniaków.

Jeździli po morzu w małej, wązkiej łodzi z rozpiętym żaglem jak skrzydło ptaka. Tu im było najlepiej. Fala kołysała i pieściła. Śpiewali do wtóru pieśni, swobodni

zupełnie w tej wielkiej pustce, otaczającej ich dookoła. Rzeźwił im twarze lekki wiatr od brzegu, wiosenne słońce wygrzewało im plecy dotknięciem tak miękkiem, jak aksamit. Zapuszczali się nieraz w taką dal morza, że całe pobrzeże i szczyty Liguryi wydawały się już tylko pasem chmur, zalegającym horyzont. Wtedy otaczała ich nieskończoność nieba i wody: puszczali łódź na fale i tonęli w błękicie. Wielkie zwały odwiecznych odmętów to podchwytywały łódź w górę, na zgrzywione przełęcze bałwanów, to opuszczały w zagłębione doły, tak, że przez chwilę widzieli wokół tylko wysoko spiętrzone garby fal. Wielkie, szerokie morze! Te niezgłębione dale i łagodne kołysanie oddziaływały na ich nerwy tak bezpośrednio i tak zawrotnie, jak muzyka. Tracili wtedy z oczu nie tylko Liguryjskie wybrzeże, ale i cały świat rzeczywisty. Cisza i pustka stawały się jakimś mistycznym oceanem prabytu i zdawało im się obojgu, że się budzą na chwilę ze snu życia, wracając do tego

przedistnienia, z którego już wyszli, a które jeszcze czeka.

Siadywali całemi godzinami na brzegu, przyglądając się grze fal i przysłuchując wiecznemu szumowi morza. Gdy pogoda trwała dłużej, wody wygładzały się, jak wielka tafla, lśniąc połyskiem polerowanej stali; tylko tuż u ich stóp płytka lawina wodna szeroką ławą zwilżała szarawy, miałki piasek. Ciągłe, nieustanne dążenie naprzód i cofanie się wstecz. Morze zdawało się oddychać spokojnie i łagodnie i falowało swemi krawędziami, jak człowiek piersią. Każda fala wykreślała łańcuszkami piany wielkie łuki na piasku i wyrzucała kamyki, muszle i wodorosty morskie. Ani, jak dziecko, bawiła się często zbieraniem tych kamyków i posiadała całą ich kolekcyę.

Kiedy morze było niespokojne i ciskało się o brzegi, wybierali sobie miejsce w załomie skały i siedzieli przytuleni do siebie, ledwie się słysząc z poza łoskotu i huku, jakim grzmiały fale. Wielkie bałwany zdawały się podskakiwać w górę. Pędzone

do brzegu traciły wreszcie równowagę i zwinąwszy się w ślimacznicę, jak gad, ugodzony grotem, rozlewały się po piasku nakształt wielkich wachlarzy. Pomiędzy głazami, którymi usiane były brzegi, wypryskiwały nagle całe fontanny i kaskady, omglone wodnym pyłem, w którym przy słońcu grała tęcza. A zawsze, a nieprzerwanie towarzyszył im ten nieustanny szum morza, które, rozkołysane z przed czasów potopu, już całe tysiąclecia wciąż szemrze, szemrze, szemrze...

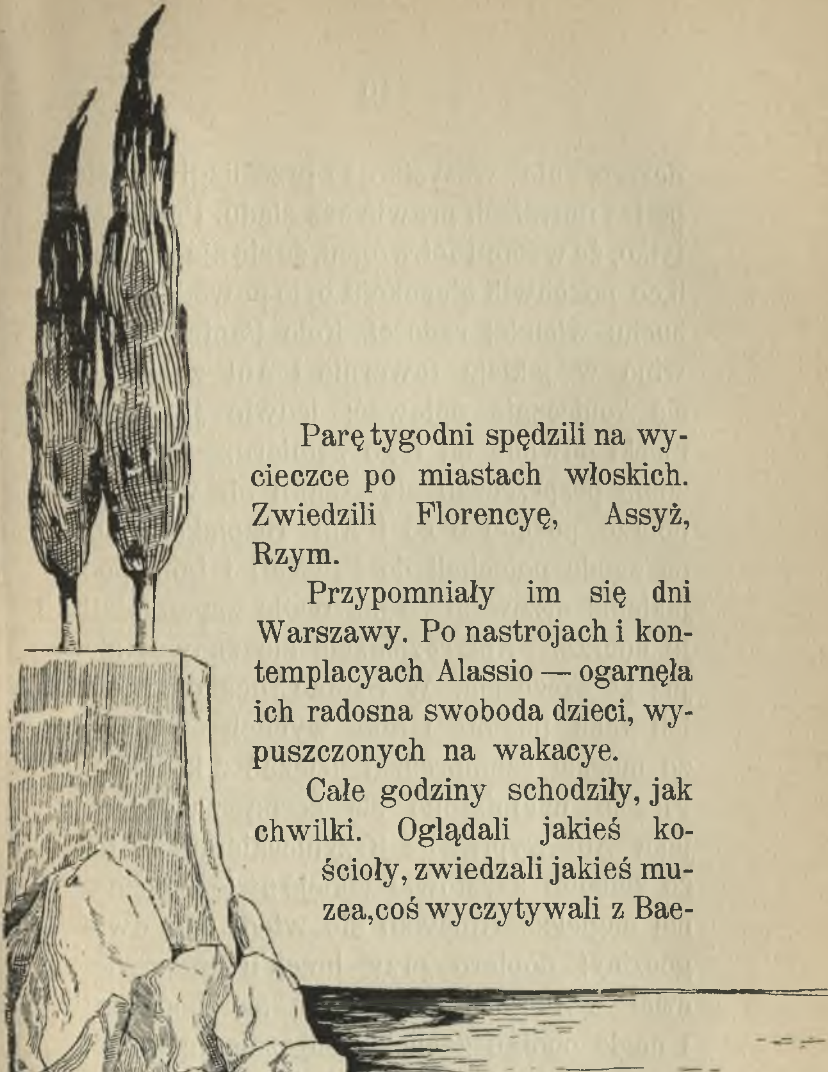
Najpiękniejszymi jednak były wieczory. Spędzali je prawie zawsze na wielkim tarasie willi, wychodzącym na ogród, a poza nim, poprzez czuby drzew — na morze. Wprost przed nimi słońce powoli zapadało w tonie. Po całej orgii blasków i barw następował liliowy mrok, a po nim zapadała noc tak cudna i tak kojąca, jak rozmarzona pieszczota. Powoli dookoła cichło wszystko, a oni siedzieli pod nabitą gwiazdami wielką kopułą nieba, zapatrzeni w ciemną dal morza, zdającego się iść w nieskończoność. Po wrażeniach i rozko-

szach dnia te noce ciepłe, ciche, wonne były wypoczynkiem i ukołysaniem. Mówili do siebie półszeptem, jakby w obawie, że każdy głośniejszy dźwięk spłoszy im czar, w którym byli pogrążeni. A wtedy każde zdanie, każdy wyraz nabierały jakiejś niezwykłej mocy i zdawały się iść z takich głębin duszy, jak ta dal, która się rozciągała przed nimi.

Często Ani przechodziła do sąsiedniego salonu i zasiadała do fortepianu.

Przez otwarte drzwi płynęły na taras dźwięki ciche, subtelne i zdawały się wypełniać sobą tę czarowną noc. Grała dla niego tylko. Ale Krzyniecki nie starał się wsłuchiwać w jej grę: wolnym krokiem chodził po przekątnej tarasu i, nie czując prawie siebie, dawał się unosić nadpływającym tonom. A muzyka wciąż szła i szła z za otwartych drzwi, mieszała się ze szmerem drzew, otaczających willę i z szumem morza, które szemrało gdzieś w głębi, aż wreszcie uchodziła daleko na fale, na gwiazdy, roztapiając się w nieskończoności.

Kiedy po takim wieczorze wracali do swoich pokojów, oboje mrużyli oczy od światła i ogarniało ich znużenie. Wracali z gwiazd.



Parę tygodni spędzili na wycieczce po miastach włoskich. Zwiedzili Florencyę, Assyż, Rzym.

Przypomniały im się dni Warszawy. Po nastrojach i kontemplacyach Alassio — ogarnęła ich radosna swoboda dzieci, wypuszczonych na wakacye.

Całe godziny schodziły, jak chwilki. Oglądali jakieś kościoły, zwiedzali jakieś muzea, coś wyczytywali z Bae-

dekera, ale wszystko to prześlizgiwało się po ich umysłach prawie bez śladu. Pamiętali tylko, że w San-Pietro omal, że się nie pogubili,co po chwili niepokoju było powodem wybuchu wielkiej radości. Koło Panteonu pili wino w jakiejś tawernie i Ani zachciało się koniecznie śpiewać; ledwie ją Krzyniecki odwiódł od tego zamiaru. W Kolizeum posprzeczali się — sami nie wiedzieli dobrze później o co i Ani rozpłakała się; na zgodę pojechali do Frascati i tam pod jakiemś drzewem — jak oboje zapamiętali je dobrze!—Ani rozpłakała się znowu, ale już ze szczęścia. W Santa-Croce ogarnęła ich taka pustota i taki wybuch śmiechu, że musieli czemprędzej uciekać z kościoła. Fiesole upamiętniło się sceną zazdrości, jaką Ani wyprawiła Krzynieckiemu za to, że zanadto asystował jakiejś świeżo poznanej angielce. Gniewali się wtedy całe dwie godziny; dopiero przy lunch'u on powiedział z flegmą: „a tośmy się podarli“! i nagle obojgu zachciało się szalenie śmiać.

Nie potrzebowali się kryć, ani obawiać niepożądanych spotkań, jak to było w War-

szawie. Śniadania i obiady, jakie jadali w coraz to innych restauracyach, a czasem tawernach, były najważniejszymi wypadkami dnia. Ani, nigdy nie pijąca, teraz popijała lekkie wina włoskie, co ją wprawiało w brylantowy humor. Krzyniecki niby gderał i stanowczo utrzymywał, że musi jej pilnować, bo się rozłobuzowała.

Często oboje zastanawiali się wieczorem, na czem im zeszedł dzień? Wtedy Ani, zarzucając mu ręce na szyję, ocierała swoje pyszne włosy o jego usta i mówiła: „jestem szczęśliwa, Pawle, ach, jaka szczęśliwa“! Toż samo mówiła jego odmłodzona twarz i rozbłysłe radością życia oczy.

Pewnego dnia, a byli wtedy we Florencyi, zachciało im się wstać o 4-ej rano, żeby z wyżyn San-Miniato podziwiać wschód słońca w dolinie Arno.

Był jeszcze mrok zupełny, kiedy wsiadali do fiakra, który, zamówiony, czekał na nich przed hotelem. Trafili w samą porę. Cała dolina zasnuta była oparami i przedstawiała się, jak wielkie jezioro.

Z bieli wyłaniała się tylko wielka kopuła Duomo, zda się, zawieszona w powietrzu. A potem przyszło słońce. Białe mgły przesyciły się różem i złotem i z poza nich, jak z za złotej gazy, zaczęły prześwitywać: i sama Florencya „la bella“, i okoliczne ogrody, i wille, i zamki z mnóstwem rozgorzałych punktów tam, gdzie słońce odbijało się w szybach. U ich stóp wyłoniła się powoli cała nieporównana dolina Arno, rozciągnięta daleko wzdłuż—hen, aż do morza, przewinięta, jak wstęgą, srebrnym gościńcem rzeki.

Patrzyli i patrzyli, nie czując, że ziębną. Wybrali się oboje, jak nieopatrzne dzieci: teraz Ani w swoim angielskim lekkim kostyumie i Krzyniecki w popielatym ubraniu i żółtych trzewikach — drżeli, jak w febrze.

Zaczęli zbiegać ku miastu prawie pędem. „Brrr... jak ciepło!“ — powtarzali raz po raz, nie mogąc powstrzymać ani drżenia, ani wybuchów wesołości. Ludowa taverna, jedyna, jaką o tej porze znaleźli otwartą, wydała im się rajem ciepła.

I rzecz dziwna: chociaż chwilą najważniejszą całej wycieczki był przecież widok doliny Arno, ozłoconej i zróżowionej przez słońce — dla nich najpamiętniejszem i najbardziej ukochanem wspomnieniem pozostały: — to zimno, od którego drżeli, ta przyśpieszona ucieczka powrotna i ta taverna, jeszcze pusta, z zaspanym gospodarzem, grzejącym dla nich wino. Tylko że cały ten ranek na zawsze w ich pamięci owinął się w złoto różową mgłę, którą widzieli tam, z wyżyn San Miniato.

To znowu — byli wtedy w Rzymie — wybrali się na Kampanię, do ruin akweduktów. Było samo południe i upał, niebywały nawet we Włoszech w początkach kwietnia. Słońce parzyło żarem, niebo, takie modre zwykle, zmętniało i spłowiało. Kilkadziesiąt kroków, jakie musieli przejść od fiakra do najbliższych arkad zrujnowanego wodociągu, wydało im się piekłem. Kiedy wreszcie dostali się do cienia pod wyszczerbionym murem z wieńcami bluszczu, byli tak zmęczeni, że obojgu przyszła jedna myśl: położyć się pośród traw,

bluszczów i jakichś nieznanych, świeżo rozkwitłych ziół, i zasnąć.

„Śpij“ — mówiła Ani, probując przymknąć powieki; „śpij“ — powtarzał Krzyniecki, co parę minut przerywając rozmowę.

Ale spać im się nie chciało. Nad głowami mieli pociemniałe, pełne szczerb sklepienia akweduktu; wyżej nad niemi wielką kopułę nieba, usianą tu i owdzie małymi, postrzępionymi obłoczkami—a tam, w dali, przed sobą żółtawo-złote, spiętrzone mury siedmiu pagórków Rzymu.

Dokoła leżała Kampania, bardzo pusta, zupełnie bezludna, a zawsze smutna, pełna wyniosłych ruin i wielkich wspomień. Czasem od strony morza przychodził lekki powiew i chwiał zwojami bluszczów, które same jedne tylko nie opuściły osamotniałych łuków. W przedziwnej przezroczy powietrza z nadzwyczajną wyrazistością rysował się każdy załam murów, każdy liść, każda odrobina trawy.

Nie, nie mogliby zasnąć. Ogarnęło ich tylko z upału jakieś rozleniwienie, niemoc

fizyczna. Odzywali się do siebie niewiele i rozmowa ich była prawie bez treści.

— Patrz, Pawle — mówiła Ani — jak ten oberwany mur przypomina głowę psa!

Krzyniecki spoglądał, przyznawał słuszność i po chwili sam zwracał jej uwagę na jakiś szczegół, który zresztą ona zauważyła już oddawna.

I tak w cieniu tej zrujnowanej arkady przebyli długich kilka godzin, prawie do wieczora. Nie powiedzieli sobie wtedy nic nowego, nie oglądali nic, a jednak to skwarne popołudnie, spędzone w ruinach Kampanii, stało im się znowu jednem z tych wspomnień najmocniejszych, do których najczęściej wraca stęskniona pamięć.

Wrócili do Alassio, syci wrażeń i prawie zmęczeni ich nawałem. Cicha willa Loreley wydała im się teraz szczególnie słodka i nabrała znaczenia przystani.

Więc znowu jeździli łodzią po morzu, znowu całe godziny spędzali, przyglądając się grze fal, znowu odbywali długie spacery po zacienionych drogach Alassio i okolic, z których wracali, mając ręce pełne kwia-

tów, oczy—światła i barw, a dusze—spokojnego zachwytu.

I znowu przychodziły olśniewające wieczory i noce rozmarzone, w czasie których myśli układały im się i jako modlitwa, i jako dziękczynny hymn. Do rozmów przybył jeszcze jeden temat, najulubieńszy, nigdy niewyczerpany — wspomnienia z tych ostatnich tygodni.

Z całą samowiedzą ludzi już doświadczonych, którzy wiele poznali i mieli sporą skalę porównań, uświadamiali sobie oboje, że przeżyli jedne z najpiękniejszych dni życia i byli sobie za nie serdecznie wdzięczni. Coraz częściej wracał im teraz na usta wyraz: „pamiętasz?“ Och, pamiętali, pamiętali — każdą chwilę, każdy drobiazg, każde niemal słowo, każde najprzelotniejsze spojrzenie. Jeszcze żadna kropla goryczy lub żalu nie zatruwała im tych wspomnień.

I kiedy na szerokiem morzu puszczali łódź na fale, lub w czasie słodkiej, jak pieszczota nocy, siedzieli na tarasie, pod wielką kopułą nieba, nabitą gwiazdami,

którą szeregi cyprysów zdawały się podpierać, jak kolumnada, znowu ze słów, ze wspomnień, z drobinek czaru, jaki ich otaczał wokoło, odżywała im niedawna przeszłość, może tem milsza teraz, że już utęskniona. Łódź płynęła coraz dalej, nad tarasem wielkie konstelacye niebieskie przesuwały się powoli, ale im się zdawało, że to całe Włochy jak w zaczarowanej panoramie przewijają się przed ich oczami. Więc znowu widzieli i pióropusze pinii, tak wyraźnie wycięte na zróżowionem tle zachodu, i słodkie malowidła Fra Angelico po starych klasztorach; i pustą, zawsze smutną równinę Kampanii, pełną melancholii rzeczy wielkich, a dawno minionych; i olśniewające płaty przemodrych mórz, wychylające się nagle z za murów i drzew; i wspaniałość pysznych bazylik, to żywych jeszcze, imponujących miastom i światu, to opuszczonych, prawie w ruinie, z wieńcami bluszczów i kępami oleandrów po załomach murów; i bujną Lombardyę, ze szczytami setek wież. rozsianemi w zieleni, a z zaśnieżonemi Alpami na dalekim

widnokręgu; i spalony od słońca, wycięty ze skały Assyż, pełen ogrójców oliwnych i serdecznych legend; i Campo Santo, i Madonny, i smukłe cyprysy, i akwedukty, i wszystko, wszystko, co się mieści pod tem przeczystem włoskiem niebem...

W wyobraźni ich i pamięci domalowywał się i wykończał wielki obraz, mający już na zawsze pozostać w ich duszach — obraz Italii.

Kochali nawet sam ten wyraz—Italia! Ta przedziwna ziemia włoska, którą niewiadomo co mocniej oświeca i przygrzewa — słońce, czy jej geniusze; ta kraina udarowana przez ludzi i Boga, do której grecy nieśli cywilizacyę, apostołowie ewangelię, a barbarzyńcy bogactwa, gdzie świty tyranów stanowiły nie haftowane mundury o błyszczących guzach, lecz rzesze artystów i poetów; gdzie wielka przeszłość wygląda z każdej ruiny, z każdego posągu, z każdej ludzkiej twarzy; ta jedyna kraina w świecie, którą każda więcej czująca i dużo myśląca istota uważa za swą drugą ojczyznę...

I płynęły im znowu dni w tem rozkosznem odurzeniu, bez myśli o jutrze, w poczuciu niemal zupełnego szczęścia i upojenia. Dusze ich kwitły, jak kwitną w pełni lata piękne kwiaty, osiągając tem szczyt i cel, dla których istnieją.

Rozumieli to dobrze oboje.

Jedna tylko była chmura na tem przejasnem włoskiem niebie: pisanie powieści szło coraz oporniej. Składało się na to wiele przyczyn. Czasem czar otaczającej ich przyrody lśnie-



nie morza pociągały zbyt silnie Krzynieckiego: odkładał wtedy pracę na południe, na wieczór, na dzień następny — i biegli oboje, weseli, szczęśliwi, jak dzieci w chwilach niespodziewanych rekreacyi. A wtedy ta powieść była im tylko maleńką szpileczką, mącącą urok chwili.

To znowu zdarzały się dni, kiedy w Krzynieckim słabła moc twórcza; zaczynał pisać, męczył się, wreszcie porzucał rękopis w zniechęceniu. Najczęściej bywało to w dni pochmurne lub dżdżyste. Wyjść, ani wyjechać na morze nie mogli; wówczas Ani próbowała uspokoić go muzyką.

Póki grała, potrafiła utrzymać go w tym zawrotnym świecie tonów, w którym sama czuła się jak u siebie w domu: adagia koiły i kołysały, allegra podniecały i prężyły mocą, cudne harmonie przenosiły w takie dale, w takie odmienne byty, że zatracali oboje pamięć nie tylko powieści, ale samych siebie.

Z przerwaniem się muzyki czar pryskał; w Krzynieckim budziła się świadomość niemocy, mniejsza z tem, że może tylko

chwilowej, bo dla artysty wydaje się ona wtedy zawsze stałą i grożącą, jak widmo. Do udręczeń chwili przyłączał się jeszcze wyrzut sumienia za te dni piękne, słoneczne, w których nie korzystał z nastroju, wolał jeździć po morzu, niż pisać. A to taka wielka różnica nie pisać, bo się nie chce i odkłada, a nie pisać, bo nie można

I wtedy nie mógł — pomimo walki nie mógł—obronić się mglistemu poczuciu, że gdyby nie Ani, nie jej obecność przy nim, takie wykolejenia z raz powziętego programu pracy nie zdarzałyby się tak często. Bo ostatecznie przyjechał tu nie na kochanie, tylko dla tej pracy...

Najważniejszy jednak powód tkwił w tem, że sama powieść zaczęła go coraz mniej zadawalać, a przez to i podniecać. Nawet Ani, którą przedtem w Warszawie tak zachwycał i olśnił sam pomysł tego utworu, nie mogła ukryć pewnego rozczarowania. Jeszcze początek przypomniał obojgu zapał i pęd tamtej chwili; ale w miarę rozwijania się opowieści coś bladło i płowiało:

„To już nie to“ — myślała Ani: „to nie tak“ — odczuwał Krzyniecki.

W długich spacerach i przejażdżkach po morzu zwierzał się jej z każdego pomysłu, z każdej sceny, którą miał stworzyć tegoż dnia lub nazajutrz; wtedy postacie znowu drgały życiem, ich uczucia wstrząsały, krajobrazy wychodziły jak rzeźba i jak malowidła zarazem. Ani, znowu podbita, przejęta zachwytem, powtarzała: „tylko nic nie zmieniaj, pisz słowo w słowo, jak mówisz“!

On próbował i pisał. Ale kiedy później na tarasie pod wielkim stropem nieba, przy szumie fali odczytywał jej to, co stworzył, oboje odczuwali, że czegoś w tem brak. A brak było i tego tła lazuru i błękitów morza o przebłyskach opalu, brak było gry rysów drogiej dla niej i tak dobrze znanej twarzy Krzynieckiego, kiedy opowiadał podniecony, brak przesubtelnych tonacyi głosu, kiedy nie czytał, lecz improwizował wprost z duszy, brak było impetu żywego słowa i rodzącego się natchnienia. Mała kartka rękopisu, zapisana drobnem, nerwo-

wem pismem, zda się, nie mogła objąć tych głębi i rojowiska uczuć i wrażeń, które w sobie czuli.

Przytem w miarę rozwijania się powieści niektóre jej typy, wbrew woli autora, paczyły się i przeinaczały.

Krzyniecki był za wielkim jeszcze artystą, ażeby stworzył miernotę; dlatego też te odmienione postacie może nie były gorsze od pierwowzorów, były jednak inne. On to rozumiał, ale pomysłu zmienić już nie mógł. Sceny i sytuacye, obmyślone dla pewnych tylko typów nie nadawały się dla innych.

A jednak oboje w zaślepieniu zadowolenia z pierwotnego zarysu snuli dalej nić dawną, ciągle w nadziei, że nie dziś to jutro uda się sprowadzić ją na papier.

I stąd powstały jakby dwie powieści: jedna, ta wymarzona, scena po scenie improwizowana i niemal przeżywana przez nich, którą on całemi latami tworzył w myślach i cieszył się nią, a którą tak zespolił z Ani, że stała się w końcu jakby ich wspólnem dziełem; ta powieść doskonała,

bez skazy, snuta tylko polotem wyobraźni i twórczem marzeniem; i ta druga, ta pisana, trochę obca im obojgu, może nie gorsza od tamtej, ale inna, której już nie mogli ukochać.

Początkowo zdawało się jeszcze Krzynieckiemu, że potrafi pochwytać rozproszone nici i że zmienione rysunki dadzą się jeszcze sprowadzić do pierwowzorów pewnemi poprawkami.

Ale już sama myśl o tem poprawianiu była mu niemiłą. Pozatem okazało się, że zmieniać nie było co. Rysunki nie raziły niczem, były tylko inne. Należało albo wszystko rozpocząć na nowo, na co nie miał ani czasu, ani już zapału, albo pozostawić powieść taką, jaką była i pisać dalej.

Wybrał to drugie.

Ale już ta praca, która z początku była mu weselem i ukochaniem, stawała się tylko obowiązkiem, często dręczącym i zmudnym.

Przestali o niej mówić. Po co było marzyć, kiedy marzenie urzeczywistnić się

już nie mogło? Siadał do pisania nieraz z myślą, biegnącą gdzieindziej, siłą tylko woli nawracając ją w wytkniętym kierunku. Naznaczał sobie z góry, że ma dziś napisać tyle i tyle i odrabiał sceny, jak zadaną lekcyę.

Coraz częściej przychodziły dni niemocy, a z nią — zniechęcenia.

Wieczorami już nie odczytywali coraz nowych rozdziałów i nie rozprawiali o nich. We wspólnem życiu ich myśli zrobiła się duża pusta przestrzeń, a zapełnić jej już nie było czem.

I stała się rzecz dziwna: to, co ich przedtem łączyło, teraz, przeciwnie — właśnie oddalało od siebie.

Pamięć podnieceń i zapałów, z których nie wyszło nic, męczyła ich oboje, Krzyniecki czuł przytem przed nią jakiś wstyd za swoją niemoc tworzenia i żałował, że ją aż tak do głębi do swej duszy wprowadził. Ani, prócz poczucia żalu, że już jej odjął część siebie, niepokoiła obawa, że może to ona właśnie swoją obecnością jest powodem tej niemocy.

Przychodziły już dni, kiedy ani muzyka, ani jej towarzystwo nie miały mocy kojenia go.

Bywał rozdrażniony, chmurny, czasem zupełnie zwątpiały.

Dla niej był dobry i tkliwy, jak zawsze, ale coraz więcej zamknięty w sobie z myślą zdala od niej. Kiedy dawniej, prócz godzin pracy, ani chwili jednej nie mogli być zdala od siebie, teraz zdarzało się, że oboje pokryjomu wychodzili oddzielnie na brzeg morza, pochłonięci własnemi myślami, czasem smutkiem, którego już podzielić nie mogli.

A w miarę, jak upływały tygodnie i miesiące, w Krzynieckim zaczęła się jeszcze budzić tęsknota za krajem.

Dusza mieszkańca północy może się zakochać w tych lazurach i przezroczach, może się rozkoszować tem wiecznie pogodnem niebem, tym egzotyzmem roślin, może się nawet wśród nich czuć szczęśliwa— tylko nie może tam żyć na codzień. Trudno pędzić życie wśród dekoracyi, jak z te-

atru, w ciągłym zachwycie, ciągle od święta.

Z Krzynieckim stało się to, coby się stało z mazowieckim wieśniakiem, gdyby go przez czas dłuższy karmiono samemi ciastkami: zaczęło mu brakować razowego chleba.

Ani Borska, która prawie całe życie spędziła za granicą i przez to zatraciła tę żywiołową łączność z krajem,—z pewnem zdziwieniem słuchała niektórych wynurzeń Krzynieckiego.

Raz o zachodzie morze przybladło, aż prawie zbielało; niebo zrobiło się fioletowo-pomarańczowe i ten kolorowy blask zaczął się snuć po tych równych, płaskich obszarach, a lekka mgła przysłoniła dale. Powiedział jej wtedy:

— Patrz, Ani, przecież to zupełnie, jak u nas, kiedy na polach leżą śniegi, a słońce za las zachodzi.

Innym razem, w samo południe, porównał morze do wielkiego rżyska. Brakowało mu naszych wielkich drzew, zwłaszcza topoli i ich szumu. To znowu zupełnie po-

ważnie skarżył się na ciągłe ciepło i chciało mu się zziębnąć aż do skostnienia rąk. Przebijała się w tem trochę kapryśność jego natury, podszyta żądzą ciągłej zmiany wrażeń.

Nadchodziła Wielkanoc. W wielki piątek Krzyniecki nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wyskoczyła z niego nagle dusza warszawiaka, przywiązanego głęboko do swego miasta, jego tradycyi i obrzędów. Oddałby chętnie całe Allasio razem z morzem i upałem za jeden spacer, choćby w deszcz, po Krakowskiem Przedmieściu, kiedy tłumy ludu dążą do kościołów na groby: wszędzie odświętne miny, odświętne ubrania; nawet sama ulica ma w sobie coś odświętnego; po skwerach już gdzieniegdzie zieleni się świeże pąkowie: czuć święta i wiosnę.

Tymczasem zamiast tego otaczała go jakby wypolerowana zieleń laurów i pomarańcz, w powietrzu czuć było upał i sól od morza, zdala dochodziły dźwięki obcej mowy.

Zdjęła go nagle taka mocna tęsknota, że chciało mu się, jak grymaśnemu dziecku,

któremu sen klei oczy, a matka zbyt długo siedzi z nim na wizycie, — skarżyć się i kaprysić: „do domu, do domu“.

I wtedy po raz pierwszy w rozmowie z Ani poruszył myśl powrotu.

Siedzieli wieczorem w jej pokoju, on przed nią na nizkim foteliku, z głową pochyloną, bawiąc się przesuwaniem pierścionków na jej białych palcach, — ona na kozecie, niedbale wsparta, całą dłoń zapuściła w jego miękkie włosy, pieszcząc go tem dotknięciem. Oboje milczeli już dłuższą chwilę, zamyśleni — każde o swojem. Przygarnął jej dłoń bliżej ku sobie i powiedział tylko:

— Ani, już czas wracać.

Nakryła szybko powiekami oczy i dopiero po chwili powiedziała bardzo cicho:

— Tak, już czas.

Więcej nie mówili o tem ani słowa. Oboje tylko czuli, że wkradła się między nich nowa niezwalczona zapora, zresztą bez najmniejszego cienia żalu do siebie lub goryczy.

Bo i Ani Borska przestała czuć się szczęśliwa. I ona, artystka prawa z łaski

Bożej nie mogła tylko w kochaniu pogrążyć na długo całej swej duszy.

Jeszcze w początkach, zrażona ostatniemi niepowodzeniami, a pociągnięta urokiem Krzynieckiego i tem życiem, pełnem nasyceń, tak nowem dla niej i tak niezwykłem, dała się pochłonąć całkowicie, bez pamięci, bez wspomnień, bez pragnień, któreby się nie odnosiły do ich stosunku. Brakło jej nawet czasu na granie i nie żałowała tego: przecież nie dla muzyki opuściła Paryż i jednym tchem podążyła tutaj.

Zato, kiedy wieczorem grała dla niego, słysząc poprzez otwarte drzwi ściszone jego kroki na tarasie, lub widząc go opartym o balustradę, zapatrzonego w dal morza, wtedy budziła się w niej artystka i wirtuozka.

Nie, nigdy jeszcze nie grała tak!

Bezgraniczne zachwyty dnia, spodziewane upojenia nocy, dreszcze rozkoszy, wstrząsające jej ciałem—wszystko to znikało bez śladu. W duszę jej wstępowały geniusze wielkich mistrzów, a ona. ich kapłanka natchniona i służebnica pokorna,

oddawała się jakiemuś mistycznemu obcowaniu. Im większa szarpanina wstrząsała jej nerwami, tem gra jej stawała się prostsza i szlachetniejsza, jakby w tych niebiańskich harmoniach szukała ukojenia i wytchnienia od zbyt wyczerpujących wrażeń.

O jednem tylko nie zapominała nigdy— o nim i że gra dla niego. Nazbyt droga jej była cała jego postać, jego głos, chód, ruchy rąk, każda fałda na czole, zapach włosów, nawet ubranie.

Więc zdawała się mówić mu: „biorę cię, chodź ze mną“.

I czuła, że nim owłada, że go bierze za sobą. Wtedy już nie ona tylko, ale oboje razem na skrzydłach tonów błądzili po jakichś krainach zupełnie nieznanych, do niczego rzeczywistego nie podobnych, po jakichś krainach nadziemskich, nadniebnych, gdzie barwy dźwięczały, a dźwięki błyszczały, gdzie kwiaty roniły pieśni, a pieśni—zapachy, gdzie cisza nawet miała swoje tony i grała jak morze, co gdzieś szemrze w dali.

Oboje, zawsze on przy niej, przeżywali jakieś uczucia nie z tego świata, jakieś wrażenia już pozazmysłowe, jakieś stany trwania w wieczności i nieskończoności. Muzyka, ten przedsionek Wielkiego Nieznanego, zdawała się uchylać przed niemi, jakby zasłony, których nie śmie, nie może przekroczyć stopa śmiertelna.

Nieraz Krzyniecki próbował słowami określić choćby najbardziej ogólnikowo doznawane przez niego wrażenia, ale było to niepodobieństwem. Odgadywała tylko Ani, że czuli jednakowo i to jej wystarczało.

Kiedy jednak Krzynieckiego ogarnęło zniechęcenie do własnej pracy, gra Ani przestała nań oddziaływać. Zdarzało się coraz częściej, że zdenerwowany, rozdrażniony nie mógł zupełnie słuchać muzyki i wtedy, zostawiając ją samą, uciekał nad brzeg morza, wsłuchiwać się w grę fal.

Ani traciła wówczas nie tylko towarzysza po tych zaziemskich obszarach, ale i słuchacza. Grała jednak — grała nawet więcej, niż przedtem. W miarę im życie dostarczało jej mniej nasyceń, im więcej

czuła, że głębia duszy Krzynieckiego oddala się od niej, tem muzyka coraz bardziej odzyskiwała nad nią swoje dawne prawa. Z dopełniającej rozkoszy przeobrażała się znowu w potrzebę, jedyną treść, wypełniającą życie.

Stawała się nawet czemś więcej — ucieczką.

Kiedy nici jej stosunku z Krzynieckim poczęły się nadrywać jedna za drugą, tylko muzyka mogła jej dać zapomnienie. Jedynymi słuchaczami wtedy byli przelotni mieszkańcy willi. Tkwiło w tem jednak pewne niebezpieczeństwo. Gra jej była zbyt niepospolita. I tak już kilka razy w chórze pochwał doszło jej uszu zdanie, że „Madame Krzyniecky“, gdyż pod tem nazwiskiem była zapisana w księdze hotelowej, mogłaby się nawet pokusić o występy publiczne. Śmieli się z tego serdecznie oboje, co chwila jednak groziła obawa, że ktoś może ją poznać: przecież objechała z koncertami obie półkule świata!

Mimo całą naiwność tych pochwał były one miłe dla Ani.

Tu już mogła być pewna, że uznanie słuchaczów zdobywała tylko jej gra, bez oszałamiającej sugestyi jej głośnego nazwiska. Różnojęzycznym gościom willi, zebranym z czterech końców świata ani przez myśl nie przeszło, że są uczestnikami najwspanialszych momentów gry przesłynnej Ani Borskiej, na której koncerty może przepłacali kiedyś bilety.

I z biegiem dni w małym salon à lecture willi Loreley wytworzyły się prawdziwe koncerty. Ani nietylko pozwoliła się słuchać. Gdyby to wypadało, byłaby sama zapraszała gości na te godziny, byłaby ogłosiła, że każdy mieszkaniec Alassio może przyjść i przysłuchiwać się jej grze. W miarę, jak rosło to przypadkowe audytoryum, grała tem chętniej, z większem oddaniem. Episyerscy nowożeńcy w podróży poślubnej, ekscentryczni amerykanie, schorowani suchotnicy, szukający ratunku pod włoskiem niebem, zapaleni turyści, znudzeni dorobkiewicze, czasem artyści przypadkowo tu zabłąkani, czasem zakochane

pary — to była publiczność, wypełniająca mały salonik.

„Poczekajcie, wezmę was“ — zdawała się mówić Ani, zasiadając do fortepianu. Milkły rozmowy i szmery, a ona grała, grała, grała.

Pewnego dnia na frontowej ścianie willi zobaczyła ogromny afisz, zapowiadający w Genui koncert głośnej śpiewaczki francuskiej.

Śpiewaczkę tę znała Ani.

Odbyła z nią raz całe tournée artystyczne po Ameryce i zachowała o niej dość sympatyczne wspomnienie. Teraz to nazwisko, które w reklamach i afiszach przez pół roku blizko zespalało się z jej własnem, wywołało w Ani cały nawał najsprzeczniejszych uczuć.

Korzystając z pierwszej sposobnej chwili, wyszła sama z willi i podążyła na brzeg. Krzyniecki ciążyłby jej teraz. Patrzała się na fale, jak podpływały i odpływały u nadbrzeżnych kamieni, goniła wzrokiem za łodziami i statkami, rozproszonemi po wielkiem morzu, widziała białe mewy, krążące

tuż nad wodą, — ale poprzez to wszystko przed jej oczy nawijał się ciągle olbrzymi amerykański afisz, na którym łokciowemi literami było wypisane: „Ani Borska“.

Tak, to przecież właśnie ona!

Pamiętała, jak w Bostonie na dworcu pierwszą rzeczą, na którą padł jej wzrok, był ten afisz... Pamiętała, jak w Chicago jej impresario dla większej reklamy kazał na najruchliwszym placu wypisać to nazwisko z zapalających się i co chwila gasnących lamp elektrycznych... Pamiętała, jak to nazwisko, gdziekolwiek się ukazała, stawało się odrazu najważniejszym wypadkiem dnia...

Pamiętała i to także, że obecna głośna śpiewaczka francuska wtedy tylko pod osłoną jej nazwiska dobijała się sławy. Przy „Ani Borskiej“ mogłaby się popisywać nawet katarynka, bilety byłyby rozchwytane.

I to właśnie ona! Kilka razy głośno powtórzyła:

— Ani Borska! Ani Borska!

I przecież nic się nie zmieniło. Gdyby tu, w Alassio dowiedziano się, kim jest,

nie mogłaby przejść spokojnie, napastowana przez tłumy ciekawych. Gdyby zechciała wystąpić w Paryżu, w Wiedniu, w Ameryce, sam rozgłos tego imienia gromadziłby jej rzesze...

W oznaczonym dniu wyjechali do Genui na koncert. Sala była natłoczona. Ani, która we wszystkich domach koncertowych całego świata obracała się jak u siebie w domu, korzystając z krótkiej przerwy, przecisnęła się do małego saloniku artystów, skąd wychodzili już wprost na estradę.

Głośna śpiewaczka w żółtej balowej sukni, zmęczona, siedziała niedbale w nizkim foteliku, puszystą zarzutką z miękkich białych piór starannie okrywając obnażony gors i szyję, Z sali dochodził niemilknący na chwilę huragan oklasków.

— Witam panią i serdecznie winszuję — powiedziała Ani.

Na twarzy śpiewaczki odbiło się zdumienie? Jakto? Ani Borska jest we Włoszech, jest w Genui, jest tu, na tej sali i nikt o tem nie wie! Co tu robi? gdzie mieszka, kiedy koncert? zaraz nazajutrz

musi, musi być u niej. Ach! nie zapomni jej nigdy! Jej zawdzięcza połowę swej sławy; była dla niej, początkującej śpiewaczki, tak dobra, tak życzliwa! I z iście francuską gadatliwością, a niezwykłą u artystek prostotą i skromnością zarzucała teraz Ani komplementami, wylewami wdzięczności i przywiązania.

Tymczasem sala grzmiała ciągle łoskotem oklasków i przytupywań. Chwilami nie mogły dosłyszeć jedna drugą.

— Ah, c'est bête! — zniecierpliwiła się śpiewaczka. — Muszę tam iść.

Szybkim ruchem odrzuciła zarzutkę i porywczo podeszła do drzwi. Tu jednak zatrzymała się na chwilę, przeżegnała i dopiero wtedy wzięła za klamkę. Ani dostrzegła, że ręka artystki drżała. Ach, tak, to trema... Po chwili z poza drzwi zaczęły dochodzić tony przepysznego sopranu:

„It était le roi de Thulé...“

Był to śpiew na bis.

Ani odgadła, że artystka śpiewa tylko dla niej, była to bowiem jej ulubiona arya z tamtych amerykańskich czasów.

Ileż to razy siedziała tak, jak dziś, w saloniku artystów, oczekując swojej kolei wyjścia na estradę! Oto dochodzi stłumiony trochę śpiew; poza drzwiami, pomimo niebywałego spokoju w sali, czuje się obecność całych tłumów, w powietrzu zapach perfum, pudru i jakieś drżenie, jakby resztki długotrwałych oklasków, zamilkłych przed chwilą.

Jakieś tryle, jakieś tony wysokie, mocne...

„Zaraz się skończy“ — myśli Ani— „teraz ja“. Słaby dreszcz wstrząsa jej ciałem. Szybkim rzutem oka przegląda się w wielkiem lustrze, stojącem naprzeciw. Co to? ręce nie obnażone, suknia nie wycięta, kapelusz? Ach, to nie jej koncert, to nie ona za chwilę wyjdzie na pełne światło ukazać się zgorączkowanym ciekawością tłumom.

— C'est pour vous, c'est pour vous!— woła śpiewaczka, ukazując się nagle przed nią i wciskając jej w dłonie wielki bukiet orchidei, jaki przed chwilą dostała.

Złudzenie trwa dalej. Oto z widowni znowu dochodzi huragan oklasków, płomy-

ki gazu zaczynają migotać od drżenia powietrza. Ani stoi ze świeżo otrzymanym bukietem i czuje, że jest jej gorąco, że jest i zmęczona i podniecona zarazem. Drzwi od sali uchylają się, wchodzi woźny w ponsowej liberyi z paczką nut w ręku. Od oklasków zaczynają już drżeć szyby w oknach. Całą istotą Ani zaczyna owładać tak dobrze jej znana gorączkowość saloniku artystów: trzeba wyjść, trzeba się pokazać, trzeba coś zrobić, bo od tych oklasków pozapadają się ściany!.. Mówi urywkowo, czuje się już własnością tych tłumów, ale czuje też, że ona jedna potrafi nimi zawładnąć i uspokoić...

— Qu'est bête! — mówi znowu artystka. — Trzeba iść...

Drzwi uchylają się znowu. Wrzawa na chwilę wzmaga się jeszcze, dochodzi do szału, potem powoli, powoli zaczyna łagodnieć, uspokajać się i wreszcie całą salę zalega zupełna cisza. „Już weszła na estradę“ — myśli Ani, po stopniowaniu oklasków odgadując, co się dzieje na widowni. Po chwili odzywają się pierwsze akordy

akompaniamentu, a potem śpiew piękny, czysty, dźwięczny jak metal.

Nie spała całą noc jakby po własnym koncercie. Nawyk całych lat artystycznej karyery, nieuleczalna zaraza estrady i sceny przyszły upomnieć się o swoje.

To dla niej zebrały się te tłumy. We wszystkich dziennikach, na wszystkich rogach ulic, na wszystkich ustach jest jej imię. Zjeżdżają karety, powozy, fjakry, każdy dąży ciekawie do sali, każdy czeka ukazania się jej, jej jednej. Ona czeka tuż za temi drzwiami. Dobiega szelest wachlarzy i przesuwanych krzeseł; niecierpliwsi stukają w podłogę. Jej muzykalne ucho po rozmiarach szmeru w sali wyczuwa, że jest zapełniona po brzegi. Wychodzi. Idzie śmiało, pewnie, prawie prędko. Z początku uderza ją tylko blask światła; stopniowo po bokach jej drogi na estradę zaczynają się odzywać oklaski; gwar cichnie coraz bardziej, oklaski wzmagają się. Już ją dostrzegła część sali, już ją widzi połowa, już ją zobaczyła większość. Unosi zlekka suknię z przodu i z głową nieco pochyloną

wstępuje na stopnie estrady. Jest to zawsze punkt kulminacyjny każdego wyjścia: na sali zaczyna się wrzawa, tumult, zgiełk. A ona idzie śmiało na sam przód estrady, tylko coraz wolniej, jakby ją powstrzymywał ten huragan oklasków, lecący na jej spotkanie. Kłania się... Żadna z artystek nie umiała naśladować nieopisanego czaru tego ukłonu! Mówiono jej już tyle razy, że zanim palce położy na klawiszach, już podbija sobie publiczność właśnie tym ukłonem. Kłania się... kłania się... nie, nie, — ukłonami nie przerwie tych oklasków. Musi zasiąść do fortepianu.

Pierwsze próbne akordy i pasaże dopiero mają moc uciszania tłumów. I gra... Cała wrzawa sali, rozciekawione twarze publiczności, setki lornetek, gorąco estrady, nawet jej własne wrażenia i uczucia — wszystko to znika przed nią bez śladu. W jej duszę, w jej palce wstępuje boski Bach, gromowładny Beethoven, słodki Mozart i poczynają tworzyć dziwy i czary; lornetki powoli opadają na kolana, wachlarze zwijają się, najcichsze szepty milkną

Powoli cała tysiączna rzesza zespala się w jedną ogromną duszę i poczyna oddychać jednem wspólnem płucem i czuć jednem wspólnem sercem. To cała ambicya i cały tryumf słynnej Ani Borskiej.

A potem oklaski, kwiaty...

Nie, to nie te chwile były jej najmilsze. Gdyby mogła, zakazałaby tych braw i bisów zaraz po skończeniu każdego numeru, zanim jeszcze przebrzmiały ostatnie akordy. Wiedziała już z góry, że na każdym koncercie, pod każdym stopniem długości i szerokości geograficznej są zabawni specyaliści, mający się za znawców, dla których jest kwestją niemal honoru dawanie hasła do oklasków równo z uderzeniem ostatnich klawiszów; ma to bowiem świadczyć o przedziwnej znajomości nutowej wykonywanych na estradzie utworów.

Ach, znała ich tak dobrze!

Oni to głównie kręcili się około saloniku artystów, składali szumnie powinszowania i... nudzili ją śmiertelnie. Każdy z nich rozprawiał o technice, czasem wytykał pomyłkę w klawiszach przy uderza-

niu szybkich oktaw lub akordów, w czem często mylił się nawet sam, ale żaden z nich nigdy nie mówił o tem, co czuł w czasie jej gry. Ani Borska skłonna była do silnych podejrzeń, że żaden z nich wogóle nic nie czuł, zbyt zajęty śledzeniem jedynie techniki i... upatrywaniem końca.

Przez noc całą obraz za obrazem, wspomnienie za wspomnieniem przewijały się przed jej oczami. Już nie chodziło o samą grę i jej wpływ na tłumy, co stanowiło zawsze niemal jedyny cel marzeń Ani.

Pamięć jej uporczywie krążyła teraz około szczegółów, rzeczy podrzędnych, dodatkowych, związanych z zawodem głośnej koncertanki. Przypominała sobie jak w Londynie składali jej hołdy nie tylko najpierwsi przedstawiciele arystokracyi Anglii, ale nawet książęta krwi. Zwyczajem osób, przypadkowo tylko stykających się z dworem, zachowała na pamiątkę rękawiczkę, której przy prezentacyi dotknęli się królowa i król Szwecyi.

W Madrycie dostąpiła wysokiego zaszczytu osobnej audyencyi u królowej re-

gentki i otrzymała od niej order. Wspomnienia były tak żywe, że pamiętała nawet, jak była wtedy ubrana: z powodu jakiejś żałoby dworskiej miała na sobie ciężką suknię z czarnego aksamitu, przybraną tylko brabanckiemi koronkami. Była tak wzruszona i tak jednocześnie panująca nad każdym swoim ruchem, kiedy, unosząc po bokach suknię, składała głęboki, dworski ukłon królowi dziecku, spoczywającemu na rękach swej dostojnej matki...

To znowu rauty, na jej cześć wydawane... Nawet strony niewygodne, często przykre, jej zawodu, przedstawiały się teraz mile, ponętnie. Stosunki z impresaryami, zajeżdżanie do obcych zupełnie miast, stawanie w nieznanych hotelach, samotne nieraz wieczory w dniach między koncertami — wszystko to dziś przybierało inną, jakąś upoetyzowaną postać.

I właśnie w kilka dni później zaskoczyły ją słowa Krzynieckiego: „już czas wracać“.

Nigdy nie wymówiłaby pierwsza tych wyrazów: nie, nie! Pomimo wszystko zbyt je-

szcze był jej drogim i czuła się przy nim szczęśliwa. Jakkolwiek minęły pierwsze upojenia, pozostawało jeszcze tak wiele, tak wiele!

Nie była kochanicą, przechodzącą z objęć jednego kochanka w objęcia drugiego. Stosunek z Krzynieckim był pierwszym tego rodzaju epizodem jej życia i czuła, że będzie ostatnim. A nie rzuca się lekko tego, czemu się poświęciło wiele i co niema już wrócić nigdy... Daleka od myśli narzucania się, chciała jednak wytrwać do końca. On sam ten kres zaznaczył...

Nie czuła do niego żalu — za co? Oboje służyli przedewszystkiem sztuce i życie musieli traktować trochę jakby przez sen. Przecież i ona na rzecz tej sztuki sprzeniewierzyła mu się w końcu myślą. Stosunek ich mógł trwać dłużej lub krócej,— nie mógł trwać wiecznie. Wszakże ona sama, napół rozwiedziona z mężem, przekonała się, że nawet małżeństwo nie ma mocy skucia ludzi na zawsze.

W obojgu, w Krzynieckim i w niej, odbywał się ten sam proces dusz: sztuka co-

raz więcej i więcej odbierała ich samolubnemu życiu, — a o to nie mogli być zazdrośni. On myślał o pisaniu, o swoich powieściach, ona—o koncertach; on tęsknił do kraju, ona—do Europy. O co było czuć pretensyę? za co mieć żal?

Przeciwnie nawet: w sercu Ani poczęło się teraz budzić głębokie współczucie dla Krzynieckiego.

Dla niej poświęcenie się sztuce było nie tylko potrzebą—było zarazem radością i nadzieją tryumfu: ot tylko zasiąść do fortepianu i grać; dla Krzynieckiego, w coraz częstszych już chwilach niemocy, stawało się raczej opętaniem i udręczeniem. Była aż nadto przeświadczona, że lepszą cząstkę los przeznaczył właśnie jej.

To też po krótkiej chwili bólu pierwszą jej myślą było: „pozostaje mi przecież sztuka“. Zaraz nazajutrz, nic nie mówiąc Krzynieckiemu, napisała do jednej z agencyi koncertowych z zawiadomieniem, że czuje się już na siłach podjąć się kilku występów. Zaraz w parę dni nadeszła skwapliwa odpowiedź samego dyrektora agencyi

z propozycyą — narazie z powodu kończącego się już sezonu—tylko dziesięciu koncertów.

Listu tego nie pokazała Krzynieckiemu, sprawił on jej jednak żywe zadowolenie. Ten pośpiech w odpowiedzi, jej uniżony ton, ilość koncertów, zaopatrzona jeszcze przeproszeniem, że „tylko tyle“—wszystko to świadczyło, że jej nazwisko posiada dawną magiczną moc. Wyobraźnia jej zaczęła się teraz owijać około pewnych punktów stałych: mogła układać programy, studyować nowe sztuki, nawet obmyślać tualetę. Ach, ta tualeta! Doszła do stanowczego przekonania, że w żółtej sukni, prawie takiej samej, jaką miała na sobie francuska śpiewaczka w Genui, byłoby jej bardzo do twarzy...

Pozostawała jedna trudność: dyrektor agencyi dopominał się o oznaczenie terminu i wogóle naglił o pośpiech. Tymczasem oni nie tylko nie określali żadnego terminu, ale nawet wcale nie mówili z sobą o wyjeździe.

Oboje jakby się bali poruszyć ten te-

mat. Życie schodziło im teraz z dnia na dzień, pełne jeszcze uroku i blasków, ale już bez jutra. Jeździli jak dawniej po morzu, przyglądali się grze fal, robili krótkie wycieczki w pobliskie góry... Wczesna wiosna południa, buchająca odrazu całem swem bogactwem, dawała im jeszcze dosyć upajających wrażeń, ażeby czuli, że jest im dobrze. Zdawało się, że mogliby tak żyć całe tygodnie, miesiące...

Dopiero okoliczność zewnętrzna zakreśliła im termin. Willa, w której mieszkali, miała być przez lato zupełnie przebudowana i jej właściciel wymówił mieszkanie wszystkim gościom od 1 maja.

Zaskoczyło to ich oboje. A zatem już tylko do 1 maja! jeszcze tylko dwa tygodnie!

Rzecz dziwna; gdyby nie ten przypadek, możeby tu posiedzieli z miesiąc, może dłużej. Siła przyzwyczajenia i zżycia się, zadowolenie z każdego oddzielnego dnia, byłyby ich tu trzymały, kto wie, jak długo; ale szukać nowego mieszkania, przenosić się, może przejechać gdzieindziej, nie,

o tem nawet nie myśleli. Było w nich jeszcze czegoś dosyć, żeby trwać bez żadnej zmiany, ale już mało, ażeby rozpoczynać coś na nowo. Zaczęli mówić o 1 maja jako o przymusowym końcu...

Ani Borska zawiadomiła agencyę. W odpowiedzi otrzymała szczegółowy wykaz dat i miast, gdzie miała wystąpić. Pierwszy koncert, widocznie iż chodziło o pośpiech, wyznaczono w Lyonie na 4 maja.

Ten list już pokazała Krzynieckiemu.

Sprawił mu żywą przykrość, której nie mógł ukryć. Uprojektował był sobie, że jeszcze razem przejadą przez Szwajcaryę i nawet pobędą tam z tydzień. Przytem, ale to już ukrył przed nią, uraziła go nieco ta jej gotowość, to obmyślenie zawczasu, co zrobi potem... On nic jeszcze nie myślał o sobie; wiedział tylko, że wraca do kraju... Zresztą tak było lepiej; duży ciężar spadał mu z serca: a więc rozstanie dla Ani nie było żadnym ciosem!.. Tem lepiej, tem lepiej!..

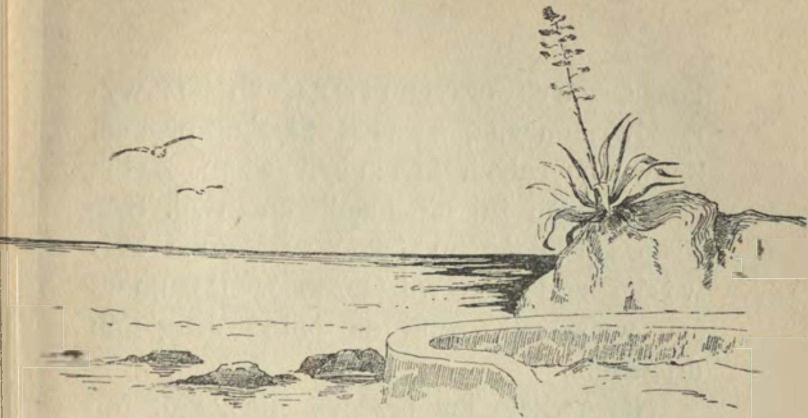
Ją przejął wdzięcznością i rozrzewnieniem ten jego projekt podróży po Szwaj-

caryi. Ach, przecież koncert można zawsze odłożyć, nawet zupełnie odwołać! na to Ani Borska może sobie pozwolić... Słuchała uważnie. Ale Krzyniecki odrazu zaczął mówić o tem, jako o rzeczy już przepadłej, której bardzo żałował. Nie przyszło mu do głowy wymagać lub prosić... Więc i ona żałowała tylko — bardzo szczerze. 1 maja stał się nieodwołalnym terminem nie tylko wyjazdu z Alassio, ale i rozstania.

Zresztą termin ten dla Krzynieckiego wypadał już w samą porę.

Fundusze jego wyczerpywały się... Jakkolwiek Ani z drobiazgową skrupulatnością oddzielała i załatwiała swoje rachunki, przez dumę dochodząc w tem nawet do przesady, zawsze jednak wspólne podróże i pożycie z osobą tak przyzwyczajoną do wystawności, narażały go nieustannie na wydatki, znacznie przechodzące jego środki, o czem zresztą Ani nie miała najmniejszego pojęcia. Kwota, obliczona na rok, wystarczyła zaledwie na pół i Krzyniecki gonił resztkami. Kwestye finansowe nie trapiły go nigdy zbytnio, ale nawet przy ca-

łej swej lekkomyślności w tych rzeczach nie mógł pomyśleć bez uczucia niepokoju, że może nagle, zdala od kraju, przy Ani— znaleźć się bez grosza. Wprawdzie zawsze jeszcze pozostawała możność wzięcia zaliczki na pisaną powieść, ale Krzynieckiemu coraz częściej przychodziła do głowy myśl, że tej powieści wcale już nie napisze.



Więc rozstawali się.

Oboje wiedzieli o tem dobrze, ale mówili mało. Zupełnie szczerze uważali ten mus rozstania za mus, jako narzuconą zzewnątrz konieczność, której należało uledz.

Ostatnie dziesięć dni zeszły serdecznie, uroczo, lepiej nawet, aniżeli ostatnie tygodnie przedtem. Ogień dopalał się, ale równo i jasno. W stosunku ich nastała jakby jesień, pogodna, cicha, pełna jeszcze barwnych kwiatów i żywej zieleni wśród złotych fontan i bukietów pożółkłych liści.

Krzyniecki, robiąc sobie chwilowe wa-

kacye, z całą przyjemnością, bo bez wyrzutów sumienia, zarzucił zupełnie pisanie. Znowu po całych dniach byli razem. Żadna uraza, żaden żal nie mąciły im chwil. Serce przepełniała im jakaś wzajemna tkliwość i serdeczna wdzięczność. Rozumieli się, wybaczali, czuli się jedno drugiemu drogiem.

Nie czekało ich przecież nic złego: Ani z ożywieniem, podniecona, mówiła o przyszłych koncertach i cieszyła się, że pozna Szkocyę, o ktorą dotychczas jakoś nie zawadziła w swych podróżach; Krzyniecki z chęcią już wracał do kraju, za którym tęsknił, i zwierzał się z mglistych jeszcze pomysłów do nowej powieści... O, tę już napisze z pewnością, — tam, na szczerej polskiej wsi, u swojej siostry, w cieniu lipowej alei...

Oboje czuli jakiś nowy przypływ wrażeń, oczekujących na nich w najbliższej przyszłości, a na to, że od Medyolanu jedno pojedzie w prawo, drugie w lewo i że przeżywać je mieli oddzielnie — jakby nie zwracali uwagi.

Znowu jeździli w łodzi daleko na morze kołysać się wśród wodnych odmętów, zawieszeni między nieskończonościami nieba i wody; znowu słuchali szmeru i szumu fal, bijących o skały; znowu na tarasie upajali się słodyczą ciepłych i wonnych nocy i widzieli, jak gwiazdy zapalały się na wielkiem niebie. Lekka gaza melancholii oczekującego rozstania przesłaniała każdy kształt, każdą chwilę i czyniła je jeszcze piękniejszemi, wprost zjawiskowemi.

Aż wreszcie nadszedł dzień ostatni...

Oboje, jakby niechcący, nie zmawiając się wcale, odwiedzili te miejsca Alassio, które im się stały najdroższemi i najpamiętniejszemi.

Więc zeszli na chwilę nad płaski brzeg morza, gdzie tyle razy przyglądali się grze fal i gdzie Ani na piasku, nieustannie zalewanym przez wachlarze wody, zbierała muszelki i oryginalne kamyki; więc dotarli i do skał, zwieszających się tuż nad morzem, w których załomie siadywali w czasie huraganów morskich oglądać rozpryskujące się bałwany i słuchać szumu wód

i wycia wichrów. Miejsca było tak mało, że Krzyniecki otaczał ją tam zawsze ramieniem, bojąc się, by nie spadła. I przypomnieli sobie, jak podczas pierwszej burzy, kiedy morze było złowrogie, łoskot bałwanów ogłuszał jak nieustanny grzmot, a bryzgi piany dolatywały aż do nich, Ani strwożona skuliła się jak małe dziecko i przylgnęła mu do piersi... Taka była maleńka wtedy i taka biedna. I taką rozkoszą było dla niego, że może ją osłonić i przytulić, a dla niej, że go ma, że czuje go takim dużym i silnym. Nie przyszło jej nawet na myśl wówczas wołać dumnie tym falom jak to zrobiła później: „Ja, Ani Borska! Ani Borska“!

Więc przeszli główną ulicą Alassio, pełną sklepów, gdzie często robili sprawunki i gdzie subjekci, stojący u wejść, znając już ich dobrze, pozdrawiali ich zawsze serdecznym uśmiechem i ukłonem. Odkłaniali im się teraz oboje po raz ostatni, dziwiąc się, iż te dotychczas obojętne im twarze stały się nagle miłemi i jednemi z tych, do których musieli się uśmiechać.

Więc zaszli i na maleńkie Campo Santo, pełne białych płyt marmuru, ciemnych cyprysów i poważnych laurów, które polubili za smętek i ciszę. Na dwa groby rodaków Ani składała często kwiaty, jakie codzień otrzymywała od Krzynieckiego. Położyła je i dziś, tylko nie wszystkie...

Więc byli i na miniaturowej Piazzecie Alassio, wyglądającej jak salonik, wyłożony płytami kamieni, gdzie zawsze obskakiwali ich całą gromadą właściciele fiakrów, proponując różne wycieczki, jakich najczęściej nie mieli zupełnie zamiaru odbywać. Znali tu już każdego cochiere, każdego konia: „Nie, dziś nie pojedziemy“ — mówiła im po włosku Ani, jakby się tłómacząc, że im robią zawód. „Domani (jutro) signora— odpowiadali swoim zwyczajem, bynajmniej nie stropieni odmową. Ale już oboje nie mogli się zdobyć na zwykłą w takich razach żartobliwą odpowiedź: „Va bene, domani“.

Więc po raz ostatni ze szczytu pobliskiej góry spoglądali na pochowane w zieleni domy Allasio i na wielkie morze, któ-

re zawsze pod zachód wyglądało jak rozrzucone po płaszczyźnie sztuki różnokolorowych jedwabnych materyi, lekkich, połyskliwych, o barwach subtelnych i zmiennych. Tu, pośród tej przestrzeni, którą dookoła ogarniali wzrokiem, przeżyli tyle szczęścia...

Popłynęli i na morze w zwykłej ich łodzi o jednym żaglu, wyglądającym jak skrzydło ptaka. Purpura zachodu zalewała już horyzont i fale, czerwone blaski kładły im się na ubraniach, na twarze, a oni płynęli jak pośród wielkiego pożaru, który, zdawało się, że ogarnął niebo, ziemię, wody...

Przez cały dzień nie wymówili ani razu słów: „po raz ostatni“. Rzadko nawet wybiegło im na usta: „czy pamiętasz“? Nie, nie, poco było uderzać jeszcze w ten najwyższy klawisz? Oboje, z całem subtelnem odczuciem ludzi już doświadczonych, rozumieli dobrze, iż popsułoby to im tylko te piękne chwile i prócz posępnej bezradności nie dało nic wzamian.

Wreszcie, pocóż było mówić? wyraz

ten i tak nieustannie ciążył nad nimi i zapomnieć go nie mogli ani na chwilę. Smutek wysączał im się z serc i powoli, jak mgła, osiadał na duszach. W miarę upływających godzin mówili do siebie coraz mniej, choć tym razem myśleli o jednem.

Były chwile, że obojgu jednocześnie przychodził poryw rzucenia się sobie w objęcia i jakiegoś wyznania... Ale co sobie powiedzą, coby jutro powtórzyć mogli i chcieli? Nie, nie; byli zbyt doświadczeni, żeby coś budować na takich chwilach. Wreszcie jedno jeszcze. Nie była przecież całkowicie wykluczona możliwość, że jeszcze kiedyś, może, zejdą się znowu i przeżyją taką epokę. Zależało to tylko od nich: gdyby bardzo tęsknili, silnie tego pragnęli... Nie wierzyli w to sami, ale zawsze...

I oboje teraz mieli ciągle w uszach zakończenie jednej z wielkich sztuk koncertowych, którą Ani, zwłaszcza pod koniec, grywała coraz częściej. Po porywach, pełnych uniesień i brawury, po całym wylewie nastrojów silnych i wytężonych muzyka zdawała się wyczerpywać, wypalać,

jak zbyt podsycony płomień. Ciągle zwalniane pasaże przechodziły w arpedżia coraz cichsze, coraz rzadsze, aż wreszcie następowały ostatnie tony, już porwane, odosobnione i takie ciche, jakby były tylko echem tego, co już minęło. Coś się zapadało, kończyło, coś się rwało,—ale zawsze wytwornie i pięknie.

Oboje dogrywali właśnie te ostatnie tony...



Dwa duże kufry stały z podniesionemi wiekami: jeden wypełniony do wierzchu, drugi dopiero do połowy. Ani, krzątając się cicho w łagodnem świetle lampy przyćmionej abażu-

rem, pakowała rzeczy. Oczy jej przelotnie tylko co kilka chwil zwracały się na Krzynieckiego i dopiero wtędy, kiedy była pewną, że jej nie widzi, wzrok jej zatrzymywał się dłużej, pełen rzewności i smutku.

— Żegnaj mi i dziękuję, z całego serca dziękuję,—zdawały się mówić jej oczy.

Krzyniecki, z łokciami na kolanach, siedział na kozetce, dopalając jednego papierosa po drugim. Co chwila to usta, to całą twarz chował w splecione dłonie.

I on unikał jej wzroku. Było mu ciężko i coraz ciężej... Nawykły do analizy własnych wrażeń i do szybkiego ubierania ich w słowa, czuł teraz natłok myśli, a wypowiedzieć ich nie mógł. Po co? na co? Żeby ją i siebie więcej roztkliwiać, rozżalać? Ach, tak: czuł silnie w tej chwili, coś mu się tłukło w piersiach, chciałby ją porwać w objęcia i wśród kojących pieszczot powtarzać słowa: „Ani, moja Ani! ja przecież“...

Ale nie, nie! Bo i co z tego? Za wiele żył, zanadto znał siebie, żeby mógł takim porywom dawać trwałą wiarę. To nie-

szczęsne „jutro“, może dopiero „pojutrze“, nadeszłoby zawsze, a on za nic ręczyć nie był w stanie. Oboje nie byli już dziećmi i nie mogli się bawić budowaniem zamków na lodzie. A wreszcie przecież to ona, ona sama, w tajemnicy przed nim, umawiała się o koncerty, zawarła kontrakt z agencyą... Maleńkie ziarnko goryczy nie zdolne było zatruć im dusz, ale miało dość mocy, żeby zmącić chwilę.

Więc co robić? a nadewszystko co mówić teraz, — co mówić? Oboje bali się tego ostatniego wieczora i dlatego na te godziny właśnie odłożyli pakowanie rzeczy. Ale to nie dawało ani rozerwania myśli, ani tembardziej — zapomnienia.

Ach, ta melancholia składania rzeczy, jakie były świadkami, niemal uczestnikami naszego szczęścia, które minęło i już nie wróci! Każdy drobiazg, każda błahostka nasuwają pamięci jakiś obraz, chwilę... Oto biała woalka w duże czarne grochy. Ani przypomina sobie, że miała ją poraz pierwszy, kiedy w powozie wjeżdżali na Pincio patrzeć się na Rzym, rozpostarty u stóp

góry, żarzący się jak w płomieniach, w purpurze zachodu. Ta woalka przeszkadzała jej patrzeć wtedy, a nie mogąc dość szybko rozplątać węzła, zrzuciła ją niecierpliwie przez wierzch kapelusza, przyczem jeden jej koniec naddarł się o szpilkę. Przyjrzała się uważniej: tak, ten mały znak rozdarcia pozostał... O, jakże szczęśliwa była wtedy, tam w powozie, na Pincio!

Oto długie rękawiczki duńskie... Miała je w Assyżu. Usiedli pod starym murem wielkiej bazyliki i Krzyniecki, bawiąc się jej rękoma, nazwał je kwiatkami; a potem, wykręciwszy je dłońmi do środka, gładził sobie twarz i mówił: „lubi, lubi“. O tego dnia silniej perfumowała rękawiczki....

Oto znowu czarne boa z jedwabnego muślinu i szneli. Kupowali je razem jeszcze w Warszawie... Jak on był wtedy stale zachwycony jej pięknością!

To jedno tylko boa po długich poszukiwaniach uznał za dość jej godne... A potem liczyli często zwieszające się do ziemi sznelowe wisiory, które przy najlżejszym wietrze zaczepiały o każdego przechodnia

i rwały się jak nitki. Brakowało teraz czterech... Przytem całe boa zmokło raz na deszczu i było już nie do użytku; ale Ani starannie złożyła je w osobnem pudełku.

Oto znowu trzyma w ręku pasek ze złotej lamy, z wielką klamrą „art nouveau“. Kupowała go już na wyjezdnem z Paryża z wyłączną myślą o nim, czy się jemu podoba... Nie miała go na sobie ani razu: jakoś nie przyszło do tego. I nagle ten pasek, w którym chciała mu się podobać, a którego on nie widział wcale, rozrzewnił ją na chwilę tak, że dłużej, niż przez cały ten wieczór, musiała ukrywać swój wzrok.

Wreszcie i drugi kufer wypełnił się do wierzchu. Ani, przyzwyczajona do ciągłych podróży i wprawna w pakowaniu, rozejrzała się raz jeszcze po pokoju, sprawdzając doświadczonem okiem, czy czego nie zapomniała. Ale oprócz najniezbędniejszych tualetowych przyborów wszystko już przeszło do kufrów. Pokój, pozbawiony nagle tego mnóstwa drobiazgów, za których pomocą artystyczna ręka Ani potrafiła go przetworzyć w miły i artystyczny kącik,

stał się znowu zimnym numerem hotelowym, o banalnem umeblowaniu. Tylko jeszcze kwiaty, pozostałe z kilku dni, porozstawiane po stolikach i na kominku, ożywiały nieco to stygnące gniazdko ich szczęścia. Ale więdły już i one.

— A ty, Pawle, już eś skończył zupełnie? — zapytała Ani, chętnie odwracając oczy od rażącej ją pustki.

— Już, Ani — odparł Krzyniecki.

Żartobliwy uśmiech zarysował się na jej ustach.

— Znamy się na tem — rzekła. — A jeżeli co znajdę?

On w lot podchwycił ten żartobliwy ton. Więc mogła się jeszcze zdobyć na wesołość...

— Dobrze, o zakład, — rzekł również z uśmiechem, wstając z kozetki.—O, tym razem jestem siebie pewny.

Ach, wiedziała doskonale, co o tem sądzić. Jeszcze się nie wydarzyło w ich podróży, żeby Krzyniecki przy pakowaniu rzeczy nie zostawił czego w szufladach lub w szafie. Miał zwyczaj wyrzucania wszyst-

kiego z walizy zaraz po przyjeździe gdziekolwiek i nigdy nie wiedział, co ze sobą ma. Ani przy całym swym artyzmie po kobiecemu praktyczna i zapobiegliwa musiała i nad jego rzeczami rozciągać nadzór.

Wpółuchylone drzwi prowadziły do sąsiedniego pokoju. Weszli tam oboje.

I tu powiała na nich chłodna pustka. Na biurku brak już było wielkiej londyńskiej fotografii Ani w całej figurze, w balowym stroju, która się ciągle uśmiechała do niego przy pracy. Stały tylko jeszcze kwiaty, którymi ona z kolei przystrajała mu pokój, a z których część on zawsze stawiał przed tą fotografią. Na marmurowym blacie komody leżały porozrzucane gazety.

— A co! — zawołała tryumfująco Ani, wyciągając z szuflady nocnej szafki jedną z jedwabnych chustek, których Krzyniecki używał do przecierania binokli.—To jedno. Zaraz będzie i drugie i trzecie...

Zaczęli krążyć po pokoju, — ona już rzeczywiście rozśmieszona swoim tryumfem,

szczerze pragnąca jeszcze coś wynaleźć,— on, krok w krok za nią, gotów choćby coś podrzucić, byle podtrzymać jej dobry humor. Ale i bez podrzucania śledcze oczy Ani wypatrzyły jeszcze ponsowy krawat, gdzieś zarzucony za lustrem tualety. Krzyniecki zaczął się upierać, że jako już zużyty, zostawił go rozmyślnie.

— No, no...—powątpiewającym tonem dziwiła się Ani.

Ale później okazało się coś jeszcze gorszego. W całym stosie starych gazet znalazła się kartka rękopisu powieści Krzynieckiego. Zaczęli oboje z pośpiechem przerzucać zapylone druki. Znalazła się druga kartka, potem trzecia...

— Nie pojmuję, jak się to mogło stać! — tłumaczył się Krzyniecki, nieco stropiony.

— Oj ty, ty!

Przybrała dobrotliwy ton starszej siostry, małej mateczki. Zdarzało się to i dawniej, że go traktowała w ten sposób, ale nigdy jeszcze nie było to tak szczere, tak proste, jak teraz. Jego zwykle nieco śmie-

szył ten ton i nastrajał żartobliwie, dziś jakiś akcent prawdy kazał mu się poddać nowemu wrażeniu. Czyż nie była jego najlepszą przyjaciółką, siostrą, małą mateczką? Nowy przypływ czegoś tkliwego, pełnego wdzięczności i czci przepełnił mu serce.

— Tak, Ani, tak — rzekł, jakby w odpowiedzi na własne myśli, okrywając pocałunkami jej wypieszczone dłonie. W słowach tych przyznawał się do czegoś i prosił, żeby mu przebaczyła...

Ona natychmiast odgadła nastrój jego myśli. Swojemi pięknemi dłońmi ujęła mu głowę i, nachyliwszy się, pocałowała go w czoło. Oboje przeniknęło poczucie jakiejś dokonywającej się w nich zmiany, ale na razie jeszcze nie mogli zdać sobie z tego sprawy. Zresztą i pora nie była już po temu. Byli zmęczeni po całym tym dniu, tak pełnym wrażeń, i senni.

— Jakto, już pierwsza?!—przeraziła się Ani, spoglądając na swój miniaturowy zegarek. — Już czas, już czas — zaczęła gderać, podając mu rękę do pocałowania.

Krzyniecki ujął tę dłoń i jednocześnie, jak się to zdarzało co wieczór, lewem ramieniem otoczył jej stan. Ani stała nieporuszona; tylko jej ręka, w miarę podnoszenia jej ku jego ustom, nieznacznie prostowała się i sztywniała, oddalając ich od siebie.

— Do widzenia, Ani—powtarzał Krzyniecki swoim zwykłym, przeciągłym głosem, jak zawsze przy tych wyrazach, przewlekając oddzielne sylaby. Oczywiście wymawiał te słowa tylko z mocy przyzwyczajenia.

Ani zaczerwieniła się gwałtownie, odgięła się jeszcze bardziej od niego i spojrzała mu prosto w twarz.

— Nie, Pawle, nie, nie! — powtórzyła kilka razy.

Krzyniecki teraz dopiero wyraźnie spojrzał na nią.

Ach, tak! Przecież to już nie dawna Ani stała przed nim. Mógłby od niej teraz zażądać ofiary, poświęcenia, bezsennych nocy, tylko nie rozkoszy, nie jej ciała.

— Przepraszam cię, Ani, przepraszam.

Ja nie chciałem...—szeptał śpiesznie, pełen podziwu dla tej przedziwnej subtelności jej wykwintnej natury.

Oddała mu obie dłonie, które on okrywał niezliczonymi pocałunkami.



Kuryer medyolański biegł całym pędem, przedzierając się przez zaporę Apeninów. Co chwila zapadał w mroczne tunele, przepełniając dudniącym łoskotem wagony, to znowu wybiegał na jasne światło cudnego majowego poranku, zataczając kręte łuki jakby naumyślnie, ażeby dać możność przyjrzenia się każdemu widokowi ze wszystkich stron. Krajobrazy migały i przeobrażały się z taką szybkością, jak we śnie. To znagła otwierały się dalekie

i rozległe perspektywy, jakby wielkie wyloty na świat, to znowu pociąg wkręcał się w głębokie przekopy, wijąc się między połupanemi skałami i świeżą wiosenną zielenią.

Przy jednem z okien wagonu naprzeciwko siebie siedzieli Krzyniecki i Ani Borska.

Już od pierwszej chwili, kiedy o piątej rano obudził ich pukaniem portyer hotelowy, ogarnęła ich gorączka podróży i towarzyszące jej stale poczucie pośpiechu. Wszystko było nowe, zupełnie odmienne w tak dobrze im znanej willi. Pogoda zapowiadała się cudowna, morze wyglądało, jak wielka łąka różowych kwiatów. Tylko nie pamiętali, ażeby słońce padało kiedy od tej strony, z jakiej je zobaczyli dzisiaj o tej niezwykłej godzinie i żeby było tak złotoróżowe i takie czyste. Nad morzem nigdy jeszcze nie widzieli tej lekkiej mgły, niby gazy, z poza której, jak poprzez białawość opalu, przeświecały drgające kolory i blaski.

Oboje byli podnieceni, w doskonałym humorze, szczęśliwi, że za chwil parę będą

mknąć szybko po tym uśmiechniętym do nich świecie gdzieś przed siebie, coraz dalej, coraz dalej...

Jedli śniadanie w wielkiej, zupełnie pustej o tej godzinie jadalni willi, ciągle się nawołując do pośpiechu i ciągle mimo to odrywając się od jedzenia. Krzyniecki raz po raz podchodził ku wysokim oszklonym drzwiom sali, wychodzącym na taras i na morze; wreszcie otworzył je zupełnie. I nigdy już, nigdy nie mieli zapomnieć tej jednej przelotnej chwili. Oblała ich nagle cała fala chłodnawego, orzeźwiającego powietrza, pełnego zapachu morza i świeżej zieleni, mokrej od rannej rosy.

Ani porwała się szybko od stołu i oboje, spleceni w zupełnie bezwiednem wzajemnem objęciu, stali długo w tych otwartych drzwiach, jakby w małej ramie, obejmującej wielkie piękno, wielką radość i wielkie szczęście życia i świata.

A potem zaczęły im migać przed oczami to płaty morza, to gęstwiny zieleni, to otchłanie tuneli. Spiętrzona masa murów, zamęt i hałas wielkiego dworca, tłumy

nowych pasażerów—to Genua. W powietrzu krzyżowały się tylko wykrzykniki obojętnych konduktorów i wiecznie spieszących się podróżnych: Vintimiglia, San Remo, Torino, Marsylia, Livorno, Nizza, Milano, Mentona!.. W ciągu paru minut postoju przewinęło się przed ich oczami kilka pociągów i expresów o długich, wykwintnych wagonach, upstrzonych białemi tabliczkami, na których widniały napisy niemal wszystkich większych stolic Europy. Nieustannie przepływały całe fale ludzi ze wszystkich stron świata; dochodziły urywki rozmów i nawoływań w najrozmaitszych językach. Wszyscy gdzieś się śpieszyli, dokądś dążyli, czegoś się spodziewali...

I znowu migające z obu stron wagony, domy, podmiejskie wille, ogrody. Pociąg wybiegł w świat i pędził, pędził...

Za oknami przesuwały się coraz nowe obrazy, zupełnie tak, jakby się odwijały z wałków. Minęli wreszcie górną przełęcz i raz po raz gdzieś daleko, bardzo daleko, u wylotu wązkiej doliny na krótką chwilę rozpościerała się olbrzymia płaszczyzna

zielonej Lombardyi, zalana słońcem, jak miękki, wzorzysty kobierzec.

Oboje zapuszczali wzrok w tę dal. Siedzieli jeszcze blizko siebie, ale już myśli ich odbiegały od siebie coraz dalej. Krzynieckiemu poczęły się marzyć mazowieckie równie, ubogie wioski wieśniacze o chatach przykucniętych do ziemi, jak wielkie grzyby, rozłożyste topole, wyboiste drogi... Jego natura, wiecznie głodna coraz świeżych, odmiennych wrażeń, łaknęła teraz prostoty i codzienności. Zdawało mu się, że już go zalatuje zapach żywicy leśnej, z przyjemnością myślał, że trafi jeszcze na porę kwitnienia bzów.

Ani Borska wyobraźnią ujarzmiała przyszłe tłumy słuchaczów jej gry. Chwilami przymykała powieki, ażeby już wprost widzieć te rzesze, które zgromadziła magiczna moc jej rozgłośnego nazwiska. Jednocześnie rytmiczny turkot kół wagonu stawał się doskonałym akompaniamentem tętniących w jej uszach melodyi. Zwłaszcza jedna z sonat Mozarta, którą Ani ze szczególnym pietyzmem opracowała w Alassio,

jako nowość swego koncertowego repertuaru, powracała uparcie z taką wyrazistością, że aż palce jej mimo woli wykonywały ruchy, jak na głuchej klawiaturze.

A jednak ciągle przecież jechali razem, a przynajmniej naprzeciwko siebie. Myśli mieli zajęte, lecz rozmowa nie kleiła się. Nie było o czem rozmawiać, tak, nie było o czem...

Krzyniecki po raz już może piąty zapytywał Ani o plan jej koncertów. W żaden sposób nie mógł zapamiętać, czy koncert jej w Birmingham miał być przed, czy po koncercie w Edinburgu, chociaż pamiętał wogóle, że Ani z Edinburga urządziła jakby pewną stacyę swojej tournée i miała zamiar, pomimo pośpiechu w terminach koncertów, wyjechać stamtąd na tydzień w poblizkie góry, zaproszona przez jeden z wielkopańskich dworów szkockich.

Ona dostrzegła to natychmiast. Ach, nie miała o to żalu. Nie, nie. Przecież i ona musiała sobie aż zapisać w swoim florenckim notesiku rzeczywiście ogromnie ma-

zurską nazwę wsi, dokąd miała adresować listy.

W pewnej chwili oboje jednocześnie odczuli, że już są sobie nie tylko niepotrzebni, ale że sobie zawadzają wzajemnie. Do powiedzenia czegoś nowego nie mieli już absolutnie nic, bo przyszłość, nawet na godzin parę, nie należała już do nich, tylko do każdego z nich oddzielnie, przeszłość była tą świątynią Janusową, której wrota były otwarte tylko wtedy, kiedy szło o te sprawy Janusowe, a teraźniejszość mechanicznie tylko była uwięziona w jednem coupée wagonu bez najmniejszej nadziei na cośkolwiek, czegoby oczekiwać mogli wspólnie.

I sytuacya ta zaczęła ciężyć obojgu. Odczuwali jakieś niejasne wyrzuty sumienia, że pomimo jaknajlepszych, najserdeczniejszych, wprost nawet rzewnych uczuć wzajemnych, czują się względem siebie skrępowani i nieszczerzy.

Zato ręce ich coraz częściej, szukając siebie, splatały się w długim, wylanym uścisku, wyręczając oniemiałe usta.

Z uczuciem ulgi powitali Medyolan.

Wskutek opóźnienia się kuryera genueńskiego, pozostawało im o wiele mniej czasu, aniżeli liczyli. Z pewnem zdumieniem dowiedzieli się, że pociąg Ani już stoi gdzieś na oddalonej linii i że muszą się spieszyć. Zaskoczyło ich to nieprzyjemnie. Tak pewni byli, że mają jeszcze z pół godziny na pożegnanie...

Przynaglani przez tragarza dążyli spiesznie podziemnemi galeryami raz po raz powtarzając:

— Ależ dlaczego? Co się stało?

Czuli, że stała im się jakaś niezasłużona a niepowetowana krzywda, że ich odarto niespodzianie nawet z tych marnych resztek wspólnego szczęścia. Ale już na nic, a tembardziej na refleksye, nie było czasu.

Zaledwie tragarz ułożył w odpowiednim przedziale podręczne pakunki, zaledwie Ani zdążyła wspiąć się do wagonu po niewygodnych, stromych schodkach, rozległ się trzask zamykanych przez konduktorów drzwiczek.

— Już! — jak błyskawica przemknęło w myśli Krzynieckiemu.

Wskoczył za nią do środka przedziału. Długi, przewlekły uścisk, jakiś spazmatyczny, szalony. Krótkie, urywane, już nawet nie słowa, ale jakieś sylaby wyszlochane, wyłkane. Kurczowe drżenie warg, szczęk, ramion i serc w piersiach. I koniec, zupełny koniec...

Wychyliła się z okna wagonu. Pociąg ruszył powoli, powoli...

Krzyniecki wpił wzrok w zalane łzami jej oczy. I nagle coś, jak pięścią uderzyło go w same piersi. Oto nagle teraz dopiero zrozumiał, że ją traci. Jakaś dziecinna skarga wybiegła mu na usta.

— Ani! Ani! Jakże ja się tu sam zostanę!

Bezradnym ruchem wyciągnął do niej ramiona, jakby je śląc w pogoń za nią, jakby błagając łaski i zmiłowania. Rysy skrzywiły mu się nieładnym grymasem mężczyzny, który płacze.

Ani, wychylona, patrzała wciąż na niego przez łzy, jak przez mgłę. Jedna chwi-

la szalonej, niepokonanej chęci znalezienia się przy nim, rzucenia mu się w ramiona. Targnęła drzwiami wagonu raz, drugi i trzeci, szarpiąc je całą mocą, jak szponami. Ale drzwi nie puściły. Wtedy nagłym ruchem oderwała coś od piersi i rzuciła z okna.

Żółta róża z całą gałązką lśniących, rozstrzępionych liści upadła na chodnik peronu nieopodal jego stóp.

Ale Krzyniecki zdawał się jej nie spostrzedz. Z wyciągniętemi ciągle ramionami szedł za oddalającym się wagonem, jak we śnie hypnotycznym. Och, jakże ją kochał w tej chwili! I ile, ile miał jej do wyszeptania!..

Ale ani pociąg, ani życie zwykle nie wracają.



W pięć lat później na tymże medyolańskim dworcu, prawie o tej samej porze dnia, tylko już pod koniec lata, panował zwykły ruch międzynarodowy. Pociągi o wagonach z napisami wszystkich wielkich miast Europy to wpadały rozpędzone z przeraźliwym zgrzytem hamulców, to, wyrzuciwszy z siebie część podróżnych, a wchłonąwszy

inną część, majestatycznie wyruszały ku jasnym otworom okopconej hali.

Pstry tłum pasażerów, rozbity na gromadki, poruszał się nerwowo w różnych kierunkach, nawołując się we wszystkich językach świata. I nagle w tej różnojęzycznej fali rozległy się doniosle dwa zdziwione okrzyki:

— Pani Borska!

— Monsieur Krzyniecki!

Stali przed sobą, obrzucając się rozciekawionemi spojrzeniami, jakby gradem zapytań.

Nic nie było nadzwyczajnego w tem spotkaniu na tym wielkim gościńcu europejskim, a jednak oboje przez dłuższą chwilę nie mogli się otrząsnąć z pierwszego wrażenia wielkiej niespodzianki. Ściskali się tylko za ręce długo, serdecznie, z wylaniem, jak ludzie szczęśliwi, że im los znowu zetknąć się pozwolił.

Zaczęła się zwykła, urywkowa rozmowa, składająca się z samych pytań, jak wykrzykniki i odpowiedzi, jak echa. Dokąd? Skąd? Po co?

Ona jechała z Berlina do Florencyi, on z Aix les Bains do Interlaken. Ile mieli tu czasu? Ona trzy kwadranse, on przeszło godzinę.

A tymczasem przypatrywali się sobie ciekawie. Nie widzieli się przecież już od lat pięciu... W obojgu zaszły zmiany...

Borska była widocznie w całym rozkwicie swojej niepospolitej urody. Jej piękność, dawniej raczej subtelna i przeduchowiona, teraz z powodu lekkiego roztycia się, jakby się zaokrągliła, uzupełniła. Wszystkie rysy twarzy posiadły posągową wyrazistość i wykończenie w modelowaniu. Stała się cała jakaś większa, wyższa, urokiem swoim obejmująca obszerniejszą przestrzeń. Pewien ledwie dostrzegalny nadmiar tuszy zacierał się w przedziwnej lekkości i harmonii ruchów. Uderzała przytem jakaś niedbała gracya całej postaci i ogromna pewność całej siebie, swego kostyumu, każdego spojrzenia.

Krzyniecki zrozumiał, że ta właśnie zupełna swoboda, z jaką nosiła swoją piękność, stanowi jeden z najważniejszych uro-

ków jej postaci i spostrzegł natychmiast, że Borska zdaje sobie doskonale sprawę z istoty wywieranego przez siebie wrażenia i że ta to właśnie świadomość, że każdy jej giest jest piękny, czyni ją tak najzupełniej pewną siebie, co znowu stanowiło główny czar jej osoby. Spostrzegł przytem, że Borska zwracała sobą—zresztą bez żadnego o to starania — wyróżniającą uwagę wszystkich przechodniów. Mężczyźni przystawali, przyglądając się tak, jakby się przyglądali dziełu sztuki, zawsze jednak w pewnem dyskretnem oddaleniu, biorąc ją za osobę z jakiegoś bardzo wysokiego świata towarzyskiego, co do której obowiązuje może dworski ukłon; kobiety, zwykle ciekawsze i natarczywsze, po ominięciu ich zawracały umyślnie, żeby raz jeszcze zlustrować ją od stóp do głów. Ale Borska nie zdawała się tego spostrzegać. Przyzwyczajona do tysięcy spojrzeń na estradach, szczerze nie widziała tych spojrzeń dziesiątków i zachowywała się tak, jakby gawędziła w jakimś ustronnym gabinecie.

Zmienił się i on. Przytył również i tylko kunsztowny krój wykwintnego ubrania nadawał mu jeszcze pozór dobrze zbudowanego, rozrosłego mężczyzny. Mocno ogorzała z odcieniem czerwonawym twarz rysami już tylko przypominała dawną jego twarz wydelikaconego warszawiaka. W swoim podróżnym garniturze i specyalnego kroju czapce miał minę sportowca, więcej czasu spędzającego na siodle, aniżeli na fotelu, w ciszy gabinetu.

Borskiej przypominał jednego z tych bywalców międzynarodowych, którzy, nie znając się nic a nic na muzyce, składali jej hołdy jako pięknej kobiecie i których towarzystwo lubiła za arystokratyczny ton, jaki z sobą wnosili.

Po pierwszych chaotycznych pytaniach i odpowiedziach przysiedli na jednej z ławek pod olbrzymim szklanym dachem hali dworca. Borska usiadła tak, jakby na tej ławce właśnie przyjmowała oddawna swoich najzaufańszych znajomych.

— Pani koncertowała w Berlinie? — rzekł Krzyniecki, ot tak sobie, aby coś po-

wiedzieć, a jednocześnie wzrokiem znawcy obejmował jej postać i manière d'une grande dame.

Na twarzy Borskiej odbił się cień jakby jakiejś niechęci.

— Ach, nie—odpowiedziała prawie niecierpliwie. — Ja przecież... — zaczęła. Ale nagle zatrzymała się, jakby się wahając, czy ma mówić dalej.

— Ach, prawda, przecież to nie sezon teraz — spostrzegł się Krzyniecki.

— Ach, nie—z wyraźną już niecierpliwością odpowiedziała.—To nie to, tylko...— zawahała się znowu.

A po chwili już zupełnie innym tonem i z lekkim uśmiechem dodała:

— Rozstawałam się z panem Aleksym Borskim.

— Jakto?

— A tak. Rozwiedliśmy się.

— Zupełnie?

— Najzupełniej, najformalniej, najkategoryczniej. Teraz, prócz nazwiska, nie łączy nas już absolutnie nic.

Mówiła to lekko, wesoło, z pewnym,

sobie właściwym, humorem i wdziękiem. On zagadnął:

— Czy pani potrzebowała teraz... tego rozwodu?...

Spojrzała na niego, chcąc wyrozumieć jego myśl.

— Ach, nie — powiedziała po chwili z odcieniem pewnego niesmaku. — Tylko, widzi pan, ja nie lubię sytuacyi niejasnych. Przytem pan Borski, bujający gdzieś po świecie, a jako prawny mój mąż, ciążył mi zanadto. Teraz skończone; nareszcie — dodała z westchnieniem niepowstrzymywanej ulgi.

Krzyniecki, przy całej swojej obecnej swobodzie podróżującego dla swej przyjemności gentlemana, przyjmującego wszystko, jako rzeczy zwyczajne, konieczne, zadał jednak pytanie:

— I pan Borski zgodził się tak odrazu?

Złośliwy i zarazem ironiczny uśmiech błysnął w jej oczach. Chwilkę myślała, jakby niepewna, czy mówić coś więcej o tem. Wreszcie, nie odpowiadając wprost na pytanie, zaczęła:

— Przypadkiem, zupełnie przypadkiem, dowiedziałam się, że pan Borski przebywa w Berlinie, w którym przed ośmiu laty odbył się nasz ślub w kościele ewangelickim, ponieważ pan Borski zmienił wyznanie dla uzyskania rozwodu z pierwszą swoją żoną, zdaje się née Żulczenko. Skorzystałam z tej wiadomości i pojechałam tam natychmiast. Zastałam mojego małżonka w stanie—zatrzymała się na chwilę i rozłożyła ręce, jakby szukając w myśli odpowiednich wyrazów.—Ostatnio grywał po kawiarniach, ale i to musiał zarzucić, bo w trzęsących się z pijaństwa rękach nie mógł już utrzymać smyczka. Tak, panie, tak. Umieściłam go w zakładzie dla alkoholików, ale na trzeci dzień uciekł stamtąd i pijany przyszedł do mnie do hotelu. Zamknęłam go na klucz w pokoju, wezwałam dozorcę, żeby go pilnował i kiedy wytrzeźwiał, postawiłam sprawę stanowczo. Początkowo miałam zamiar uwolnić się odrazu jakąś większą sumą, ale za poradą adwokata urządziłam się inaczej.

Umilkła znowu jakby zdziwiona, że aż

tak dalece wtajemnicza go w swoje sprawy. Ale wrażenia berlińskie były jeszcze zbyt świeże, a ona nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo potrzebowała się przed kimś wypowiedzieć.

— Więc zapewniłam mu rentę — mówiła dalej — którą będzie odbierał przez adwokata. Och, nic tak bardzo wielkiego, byle się mógł przyzwoicie utrzymać.

Znów ironiczny, ale zarazem i jakiś wesoły uśmiech zaigrał na jej ustach.

— Czy wie pan, co stanowiło największą trudność? Nazwisko. Pan Aleksy Borski upierał się, ażebym powróciła do swego panieńskiego. Pan kawiarniany skrzypek obawiał się widocznie, że mu skompromituję jego szacowny rodowy klejnot.

Prawie rozbawiona swojem opowiadaniem wesoło spojrzała na Krzynieckiego. Ale wesołość jej znikła raptownie. Zaczęła czegoś szybko szukać w przewieszonej przez ramię torebce i zapewne wskutek pochylenia głowy zarumieniła się silnie.

— Ach — zaczęła mówić prędko — tu przecież nie chodzi o wątpliwy zaszczyt

nazywania się panią Borską... Ale nie mogę zmieniać nazwiska po raz trzeci...

— Tak, rozumiem; publiczność.., — wtrącił Krzyniecki.

— Tak, zapewne—odpowiedziała z wahaniem.—Ale zresztą o to chodziło mi najmniej.

— Jakto?

Borska zamilkła. W jakiejś zadumie skierowała wzrok gdzieś w dal, w jasny otwór wylotu szklanej hali. Dopiero po dłuższej chwili, potrząsnąwszy zlekka głową, jakby się chciała oderwać od swoich myśli, zwróciła się do Krzynieckiego:

— Widzi pan, ja się już przyzwyczaiłam, a nawet, tak, przywiązałam do tego nazwiska.—Znowu w oczach jej wyraziła się zaduma.

— Można się czegoś wyrzec—mówiła jakby do siebie — a jednak nie przestać kochać. Cóżby się zresztą pozostało z życia?

— Ach, tak?—wtrącił zdziwiony Krzyniecki. — Więc na cóż rozwód, jeżeli... jeżeli... nie przestało się kochać?

W oczach Borskiej odbiło się zdumie-

nie. Patrzała na niego badawczo, chcąc pochwycić wątek jego myśli.

— Nie rozumiem — powiedziała.

Ale nagle zestawienie jego słów z jej własnemi ułożyło się w logiczuą całość. Wybuchnęła tak szczerym, rozbawionym śmiechem, że to aż stropiło Krzynieckiego.

— Ach, więc pan myślał, że to o pana Borskiego chodziło! — zaczęła, nie mogąc pohamować śmiechu. — Nie, nie, nie!

Nowy atak wesołości nie pozwolił jej mówić więcej.

Krzyniecki nic już teraz nie rozumiał. Chcąc przerwać niezbyt przyjemną dla siebie sytuacyę, zagadnął:

— Ale w końcu zgodził się?

Potrzebowała jeszcze pewnej chwili, ażeby przyjść do równowagi. Z satysfakcyą powiedziała:

— Pan Aleksy Borski ma wszystko do sprzedania, nawet nazwisko. Chodzi tylko o cenę. Bardzo się nie targowałam. Mam nawet wyrzuty sumienia, bo za ten przywilej kazał sobie zapłacić oddzielnie i gotówką odrazu, a większa suma pieniędzy

w jego ręku, to poprostu samobójstwo. I jakie to jeszcze szczęście, że u pana Borskiego wszystko kupić można.

Przelotnie Krzynieckiemu zdawało się, że Borska, zapewne w pośpiechu wypowiadanych niektórych zdań, powiedziała zamiast „szczęście“ — „szęście“.

— A teraz do Florencyi? — zapytał. — Czy na długo?

Spojrzała na niego, zdziwiona.

— Jakto, czy na długo? Ja tam mieszkam.

— We Florencyi?

— Tak. A raczej nie w samej Florencyi, tylko pod miastem, około Fiesole. Mam tam swój domek, a jak oni tu nazywają — willa. Taka ładna, cała biała, z ogrodem i tyle kwiatów...

— I dawno pani już tam... mieszka?

— O, już od dwóch lat przeszło. Urządziłam się tam zaraz potem, jak...

Zatrzymała się. Palcami, jak to miała zwyczaj i dawniej, przysłoniła sobie powieki, pogrążając się w zadumie.

— Czy pani ma już ułożony jakiś plan koncertów na ten rok?

Borska zwróciła się ku niemu i przez dłuższą chwilę patrzała mu wprost w oczy. Wreszcie powoli i z całym spokojem rzekła:

— Ja już nie koncertuję.

— Jakto? — wykrzyknął prawie Krzyniecki.

— Ja już nie koncertuję — powtórzyła z całą powagą.—Dwa lata upłynęło w kwietniu, jakem się pożegnała z publicznością w Lipsku i to... na zawsze.

— Nie może być! nie może być!—powtarzał Krzyniecki zdumiony i niemile dotknięty tą wiadomością.

Twarz Borskiej wyrażała najzupełniejszy spokój i obojętność. Jej piękne rysy wydawały się stężałe i nieruchome, jak rysy posągu.

— Jest to już, jak pan widzi, eine alte Geschichte. Nie mogę powiedzieć, żeby to wszystko wówczas odbyło się tak bardzo łatwo. Nie, nie, tem bardziej że pierwotnie chciałam zupełnie wyrzec się i muzyki. Ale to już było ponad moje siły. Więc

grywam, nawet bardzo wiele, ale tylko dla siebie, no i z konieczności dla mojej Andrei — zakończyła z uśmiechem.

Nagle to imię Andrea jakby jej coś przypomniało, bo powiedziawszy Krzynieckiemu; „przepraszam pana“ — obróciła się poza siebie ku jednej z ławek, stojących opodal. Na dany przez nią znak z ławki podniosła się i podbiegła żywo jakaś młoda kobieta, skromnie ubrana, ale w kapeluszu... Krzyniecki domyślił się, że była to panna służąca.

Borska bardzo prędko i z wielką wprawą powiedziała coś po włosku, widocznie o coś zapytując. Młoda kobieta otworzyła zaraz trzymaną w ręku torebkę, czegoś szukając i wydobyła wreszcie jakiś papier, który się okazał kwitem bagażowym niedbale złożonym w kilkoro. Borska rozwinęła papier i wręczając go napowrót pannie służącej, dosyć długo coś jej objaśniała, gdzie ma pójść i co zrobić. Mówiła tak biegle i tak pięknie, że Krzyniecki z przyjemnością wsłuchiwał się w te dźwięki mało zrozumiałej dla niego mowy. O tyle znał jednak język

włoski, że poznał, iż Borska mówi najpiękniejszym i najpoprawniejszym toskańskim dyalektem.

Młoda kobieta, wziąwszy kwit, skierowała się w głąb zabudowań stacyjnych.

— Przepraszam pana — zaczęła znowu Borska — już mi tu raz zatrzymali bagaż i musiałam potem z domu telegrafować, więc wysłałam Andreę, żeby sprawdziła i przypilnowała. To bardzo poczciwa dziewczyna, przywiązała się do mnie i jest nam dobrze razem. Całymi tygodniami jest to jedyna moja towarzyszka, a za muzyką poprostu przepada, więc zastępuje mi i publiczność — dokończyła z wesołym uśmiechem.

— Ale dlaczego? dlaczego? — zapytał Krzyniecki.

Rysy Borskiej przybrały znowu wyraz kamiennego spokoju.

— Dlaczego? — powtórzyła — dlaczego? A dlatego, że jestem już światu niepotrzebna. Niech pan nie myśli, że mówię to w jakimś żalu, z goryczą. Widzi pan, ja i świat przestaliśmy się wzajemnie rozumieć. I żadna ze stron nie chce od swe-

go odstąpić. To, jak w małżeństwie; jeśli zgoda, to dobrze, a jak się zaczną... kłócić, najlepsze lekarstwo — rozwód. Świat nie odczuł żadnej straty, a ja zyskałam spokój. Et voilà! Z początku, tak, przyznam się, czułam rozżalenie i cierpiałam. Ale to przeszło. Jestem spokojna.

Krzyniecki najwyraźniej usłyszał, że Borska zamiast „rozżalenie“ powiedziała „rozszalenie“. Teraz dopiero spostrzegł, że artystka mówiła dziwnie powoli, jakby z pewną trudnością, dobierając wyrazy i nie zawsze trafiając na zupełnie odpowiednie. Mówiła przytem wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Miała to trochę i dawniej, ale wówczas stanowiło to raczej pewien specyalny, jej właściwy wdzięk, teraz zaś już wprost raziło.

— Ale dosyć o mnie — zaczęła znowu Borska. — Zdaje mi się, że byłam u spowiedzi, a pan mnie... — zacięła się — rozgrzesza. Va bene. A teraz niechże mi pan coś powie o sobie. Pan wraca z Aix les Bains, tak? Pan był chory?

— Tak niby, trochę — odparł Krzynie-

cki, śmiejąc się sam z siebie. — Podobno nerwy, podobno jeszcze coś i jeszcze coś, aż się razem zebrało. Wreszcie coś z latem trzeba zrobić, a czy tu, czy tam, czy to nie wszystko jedno? A Aix les Bains jest ładne i pobyt tam bardzo przyjemny.

— A teraz do Warszawy?

— Zapewne na jakiś czas i do Warszawy, ale na stałe mieszkamy na wsi, w Kieleckiem. Teraz jadę do Interlacken po żonę i za jakieś dwa tygodnie ruszymy już do domu.

Borska spokojnie przerwała:

— Wiem, że pan się ożenił. Mówił mi to ktoś tam z Polski. Już pewnie ze trzy lata?

— Tak, nawet więcej trochę.

— I?...

Borska chciała zapytać o coś, ale nie wiedziała, jakby się wyrazić.

— Czy państwo...

Ale on zrozumiał, bo odpowiedział zaraz:

— Mamy córkę.

Borska ożywiła się nagle. Na jej twarzy zaigrał jakiś dobrotliwy uśmiech.

— Ileż lat ma ta wielka osoba?

— O, dużo. Już całe dwa, nawet z małym okładem. Urodziła się w lipcu...

— I nazywa się?

— Przy chrzcie dano jej imię Irena. Ale my ją w domu nazywamy Mysia. Bardzo podobne jedno do drugiego, jak pani widzi.

— Mysia... — powtórzyła Borska, i potem jakby w zadumie jakiejś kilka razy jeszcze powoli wymówiła: — Mysia... Mysia...

— Ładna?

— Podobna do matki, a żona niby... niczego... owszem... — żartował Krzyniecki.

Pojawienie się Andrei na chwilę przerwało rozmowę. Młoda dziewczyna zdawała widocznie sprawę z otrzymanego polecenia. Borska znowu szybko, energicznie odezwała się parę razy po włosku. Krzyniecki zauważył, że Borska lubi mówić po włosku i że wie o tem, iż mówi pięknie.

I rzeczywiście ten dźwięczny, melodyjny język stanowił jakby konieczne uzupeł-

nienie jej renesansowej, tycyanowskiej piękności. Sam też z przyjemnością przysłuchiwał się jej, nie usiłując nawet coś zrozumieć.

Wreszcie Andrea podążyła na swoją ławkę, a Borska zwróciła się ku Krzynieckiemu. I znowu w jakiejś zadumie powtórzyła kilka razy:

— Mysia... Mysia...

— Podoba się pani to imię?

Ale Borska niespodzianie rzekła:

— Wie pan, przypomniał mi się nasz las sosnowy, tam, w Polsce. Zima, mróz i dużo, bardzo dużo śniegu, a na drzewach, na wszystkich gałązkach... także śnieg...— zatrzymała się—zaraz... Ach, jakże się to nazywa? — rzuciła niecierpliwie.

— Co takiego?

— Bo to nie śnieg na gałązkach, tylko takie białe, zupełnie jak śnieg...

— Może sadź?

— Tak, tak, sadź!—ucieszyła się. I znowu, jak poprzednio imię Mysia, kilka razy powtórzyła w zadumie: „sadź, tak, sadź“.

— Jak pani doszła do tego lasu — zażartował Krzyniecki.

— Non so — odparła przeciągle, zapatrzona w rączkę parasolki, trzymanej w ręku.

Ale już po chwili potrząsnęła swoją piękną głową, jakby chcąc się wydobyć z jakiejś mgły, czy gazy, w której była na moment pogrążona.

Od pierwszej chwili tego spotkania chciała się dowiedzieć, jak mu się powodzi. Wiedziała dobrze, że przed laty, w czasie ich pobytu w Alassio, Krzyniecki nie był zamożny i że nawet sam ten wyjazd do Włoch tylko z pewną trudnością doprowadził do skutku. Tamta wielka powieść, „ich powieść“, ani żadna inna nie była napisana, a przynajmniej drukowana i Borska także wiedziała o tem, gdyż, interesując się twórczością Krzynieckiego, przy każdej sposobności zetknięcia się z rodakami dopytywała się o to i wogóle o niego, a Krzyniecki był zbyt znaną firmą, ażeby dzieła jego mogły przechodzić niepostrzeżone. Chciała więc teraz zadać mu to pytanie,

tylko szukała w myślach formy, żeby go czem nie dotknąć.

Ale w toku rozmowy odstąpiła od tego zamiaru.

Wszystko, co otaczało teraz Krzynieckiego, było wykwintne i kosztowne, na czem Borska znała się doskonale. Wytworność jego podróżnego kostyumu, elegancya krokodylową skórą krytych podręcznych pakunków, jakaś niewolnicza, pokorna usłużność tragarza, nie mogły nie zwracać uwagi.

A przedewszystkiem w nim samym zaszła zmiana. Niedbała swoboda w obejściu, sposób traktowania usługujących, zupełny spokój pośród tego zamętu rozstajnych dróg Europy, świadczyły o najdoskonalszej pewności siebie, jaką tak często daje przeświadczenie o dobrze zaopatrzonej kieszeni.

Jeden szczegół zakończył te obserwacye pod tym względem. W pewnej chwili Krzyniecki, chcąc sobie przetrzeć binokle, zdjął rękawiczkę i Borska na jednym z palców dostrzegła obok obrączki pierścionek ze

szmaragdem. Kamień był dziwnie piękny, przeczystej wody, co stanowi taką osobliwość w szmaragdach, i tak wielki, że aż stanowczo za wielki do męskiego pierścionka. Widoczne było, że osoba, która go kupowała, posiadała dużo, jeżeli nie smaku, to pieniędzy. „Naturalnie zaręczynowy“, domyśliła się, teraz dopiero całkowicie odgadując sytuacyę.

— Pisze pan co? — spytała.

Krzyniecki zrobił komiczny grymas, jakby się napił octu.

— Tak, niekiedy, coś, od czasu do czasu...

— Dlaczego? Przecież teraz... — i nie dokończyła.

Ale on zrozumiał.

— Mam wiele czasu! Tak. Ale widocznie to nie tylko od czasu zależy, — rzekł poważnie i tak jakoś, iż Borska poczuła, że więcej o tem mówić nie życzy sobie.

— Nie przykrzy się pani mieszkać tak zupełnie samej tam w tej willi pod Fiesole?

— Ani trochę. Dużo grywam, dużo czytam i z całą pasyą zajmuję się swoim

ogródkiem. Czy pan uwierzy, że my same z Andreą pielemy klomby i podlewamy. A widok z tarasów na całą Florencyę i Toskanię taki, że możnaby pokazywać za biletami. Zresztą ta willa jest nawet w Baedekerze... Poza tem nie zawsze znowu jestem tak strasznie sama, jak pan przypuszcza. Mam przyjaciół i życzliwych po całym świecie, którzy dużo podróżują i od czasu do czasu zawadzają o Florencyę; wtedy mam wielką przyjemność goszczenia ich u siebie. Nawet i teraz spieszę do domu, bo już na jutro mam obiecany przyjazd pewnej rodziny ze Szwecyi i nie puszczę ich, aż po jakim tygodniu. Ja bardzo wiele życzliwości zaznałam od wielu ludzi i taką mi to sprawia radość, że ich mogę przyjąć prawdziwie u siebie, nie w jakimś hotelu, i że im trochę pogram.

Rozmowa przeszła w beztreściwą pogawędkę, którą prowadzić można całe godziny i zarazem przerwać każdej chwili. Czego się mogli dowiedzieć o sobie, to się dowiedzieli; reszta już ich nie wiele interesowała.

Nadszedł wreszcie czas odjazdu.

Podeszli oboje do wagonu i Borska, nie czekając ostatniej chwili, wyciągnęła do niego rękę. Żegnali się długo, serdecznie, życzliwie, jak dwoje ludzi, którzy są wzajemnie siebie pewni i dla których każde spotkanie jest bardzo miłą niespodzianką. Krzyniecki kilkakrotnie ucałował dłoń artystki, ona ślicznym ruchem swej pięknej głowy akcentowała zadowolenie, że go widziała.

— A niech pan odemnie ucałuje Mysię, koniecznie, koniecznie — rzuciła ona ostatnie słowa pożegnania.

Poczem, ująwszy dłonią za antabę drzwiczek i wspiąwszy się lekko i szybko po stopniach wagonu, zniknęła w głębi przedziału.

Krzyniecki wszakże nie odchodził, przypuszczając, że artystka jeszcze się ukaże w oknie. I rzeczywiście, po dłuższej chwili, przed samem ruszeniem pociągu, Borska podeszła ku oknu. Widocznie jednak, nie myślała już o nim, bo na twarzy jej odbiło się przelotne zdziwienie, że go jeszcze

widzi. Uprzejmy uśmiech ożywił jej rysy.

— A my, z Andreą, przez pana nie jadłyśmy śniadania. Będzie pan miał nas na sumieniu.

— Ach, jestem niepocieszony — robiąc przerażenie, żartował Krzyniecki.

— No, niech się pan pocieszy, bo w tym pociągu idzie wagon-restaurant i zaraz tam przejdziemy. Nawet wolę, bo nie potrzeba będzie śpieszyć się.

Wagon drgnął i pociąg zlekka zaczął się toczyć po szynach. Krzyniecki postąpił kilka kroków, patrząc w okno. Borska wychyliła się cokolwiek i skłaniając nieco głowę, powiedziała:

— Adio!

Poczem cofnęła się i głowa jej znikła z otworu okna.

Krzyniecki patrzył jeszcze chwil parę i już miał zawrócić, kiedy nagle wzrok jego padł na kwiat, leżący tuż u jego stóp.

Na asfalcie peronu leżała żółta róża z całą gałązką lśniących, rozstrzępionych liści. Schylił się i podniósł ją zdumiony. Był najzupełniej pewny, że ani Borska, ani

Andrea nietylko tego kwiatu, ale wogóle kwiatów nie miały przy sobie. Przez cały czas zresztą miał wzrok utkwiony w okno wagonu i najmniejszy ruch Borskiej nie uszedł jego uwagi, więc nie mógł ani chwili przypuścić, że to ona ten kwiat rzuciła, a jednak nie był w stanie obronić się poczuciu, że pomiędzy nią, a tą różą jest jakiś dziwny związek.

Coś bardzo niewyraźnego, mglistego, jakby echo nieuświadomionego a zamierzchłego wspomnienia narzucało się teraz pamięci. Już widział kiedyś tę różę i widział rękę Ani, rzucającą mu ją do stóp, tylko tego nie zapamiętał. A może było to we śnie? Gdyby wierzył w metampsychozę, wytłómaczyłby sobie, iż przeżył taką chwilę w jednem z poprzednich istnień i że teraz pamięć o niej przedarła mu się nagle przez mgłę nicości.

* * *

Kuryer berliński już w pełnym biegu wydzierał się z bezładnych budowli Medyolanu. Krzyniecki, niedbale rozparty w cou-

pée sleepingu, niecierpliwie czekał, kiedy wreszcie pociąg wymknie się z pomiędzy podmiejskich fabryk i ruder i zatonie w rozkosznej zieleni Lombardyi. Chciał się skupić w myślach, rozstrzygnąć jakieś zagadnienie, które, sądził, że rozstrzygnąć, a przynajmniej przemyśleć powinien. A do tego potrzebna mu była pustka morza lub monotonność jednostajnej zieleni.

W pewnej chwili, kiedy pociąg przejeżdżał około jakiejś wielkiej fabryki, w której zapomocą dźwigu podnoszono właśnie do góry całą olbrzymią machinę, Krzyniecki, zainteresowany tym widokiem, na chwilę zapomniał o czem to miał myśleć.

— Ach, ten kwiat! — uświadomił sobie znowu.

Od chwili podjęcia go z peronu dworca trzymał go automatycznie w dwu palcach prawej ręki, czując, że czeka go jakaś z nim rozprawa. Zajęty zresztą sprawami podróży, odszukiwaniem zamówionego uprzednio miejsca i rozlokowaniem się w zajętym przedziale, nie miał czasu myśleć o czem innem. Ale pamiętał ciągle,

że miał coś do przemyślenia, coś ważnego, coś z samego dna duszy. A ten kwiat był właśnie tego przypomnieniem. Więc i teraz, mając rękę po łokieć przewieszoną za ramę okna, uprzytomnił sobie, że tę różę ma ciągle w palcach.

Nareszcie! Pociąg, pędząc coraz prędzej, jakby także spragniony szerokich horyzontów wielkiej równiny, wyminął ostatnie podmiejskie ludzkie nory, bardzo szpetne, i wybiegł na zielone pola.

— Już! — pomyślał z ulgą Krzyniecki.

Zaczął się przypatrywać żółtej róży, jakby z niej chcąc zaczerpnąć—nie tematu—lecz planu do swoich dumań.

Ale właśnie pociąg mijał bardzo architektonicznie ciekawe ruiny jakiegoś klasztoru. Potem napraszały się wprost o uwagę przepyszne ciemne winne grona, wiszące na festonach winorośli, porozpinanych między drzewami. Potem kwadratowa wieża kościoła, miniaturowa kopia słynnej weneckiej kampanilli, potem duży most na mizernej, wyschłej latem rzece, potem jakaś stacya, znowu ruiny, tym razem ko-

ścioła, który nigdy nie był wykończony, wreszcie daleko jeszcze, bardzo daleko sylwety Alp, niby chmury i obłoki. Wszystko rozpraszało uwagę Krzynieckiego i nie pozwalało zebrać myśli.

— Do Interlacken? — rzekł konduktor, przeglądając książeczkę biletową Krzynieckiego.—Przesiadanie w Zürichu o dwunastej w nocy.

— Przesiadanie w Zürychu o dwunastej w nocy, a potem do Interlacken — powtórzył sobie Krzyniecki, jak zadaną lekcyę.

Jednocześnie palce jego ręki, ciągle przewieszonej przez ramę okna, rozchyliły się jakby mimowoli i żółta róża z gałązką lśniących, rozstrzępionych liści, upadła na brudny żwir kolejowego toru. Powtórzył sobie jeszcze:

— A teraz — do Interlacken.

